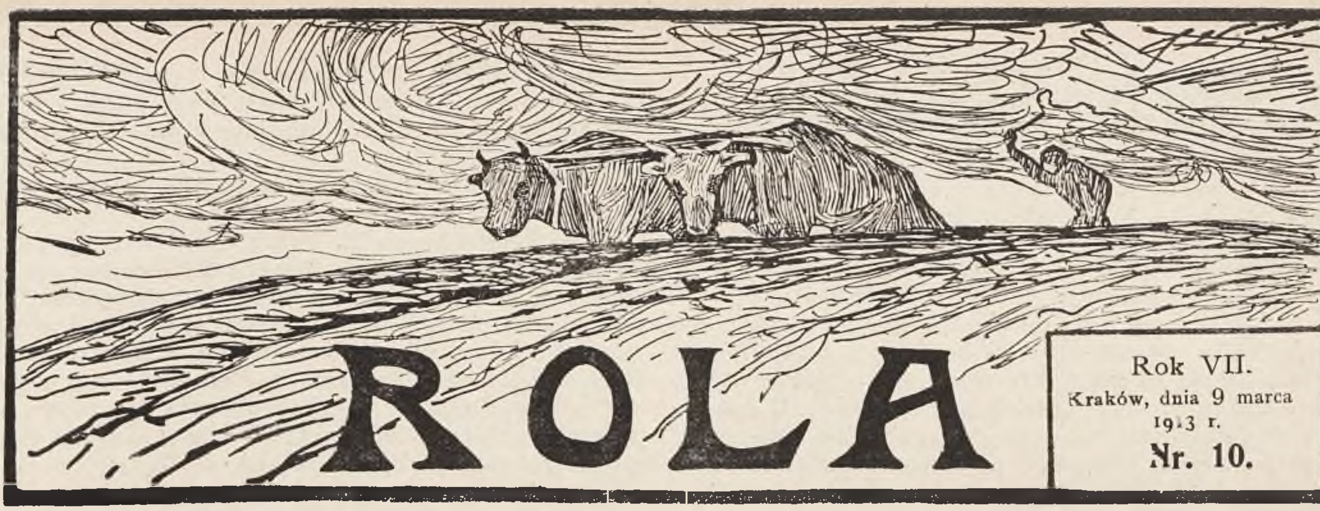


Rok VII.
Kraków, dnia 9 marca 1913 r.
Nr. 10.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz jednoszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 3 do 6. Telefon nr. 2346.

Zwyczaje wielkopostne.

Zwyczaje i obyczaje przodków naszych są cennym zabytkiem przeszłości, a zarazem żywą pamiątką owych prastarych czasów, o których żadnych wiadomości nie notuje historya. Są one tak silnie zakorzenione, iż rodacy nawet na obczyźnie troskliwie je pielęgnują, a nieraz zdarza się, że naród pozbawiony bytu politycznego, wyzuty z praw wszelkich, języka zapomina, a ojczyste obyczaje pamięta i zachowuje.

Nie wszystkie dawne zwyczaje dochowały się do dnia dzisiejszego. Wiele z nich, jak to później zobaczymy, znikło zupełnie, niektóre przedtem obchodzone uroczyście przez wszystkich, obecnie, jako pozostałość istnieją między ludem miejskim i wiejskim, inne wreszcie zachowały się tylko w pewnych okolicach kraju naszego.

Obecnie przypadający okres Wielkiego Postu, za panowania Augusta III, rozpoczynano już w ostatni wtorek o północy. Jeden z uczestników przebierał się za księdza, włożywszy na ubranie zamiast komży koszulę, a zamiast stuły pas na szyi zawiesiwszy, stawał w kącie pokoju na stołku kobiercem przybitym do ściany, do pasa zasłonięty, i niby z ambony miał kazanie o śmiesznej treści. Następnie dawano mleko, jaja i śledzie na znak rozpoczynającego się postu. Kolacya ta zwała się »podkurek« i była w użyciu zarówno u wszystkich, tak w domach wielkich jak małych.

W środę popielcową, zwaną inaczej wstępną, sypie kapłan w kościele pobożnym popiół na głowę, mówiąc: »Prochem jesteś, w proch się obrócisz«.

Powiadają, że jeden mahometanin, będąc świadkiem tego obrzędu, a widząc później, jaki spokój i powaga nastąpiły po szaleństwie zapustnem, sądził, że ksiądz rozumem głowy posypał.

W dawnej Polsce, według świadectwa ks. Andrzeja Kitowicza, na popielec zjeżdżali się i schodzili do kościołów wszyscy, a nawet najwięksi panowie nigdy go nie opuszczali. Taka zaś była pobożność Polaków, że chorzy, nie będący w możności udania się do kościoła, prosili, aby popiół danym im był w łóżku.

Z wprowadzeniem wiary chrześcijańskiej do Polski, posty musiały się spotkać z oporem ze strony ludności, skoro za Bolosława Chrobrego istniało prawo, by zęby wybijano temu, ktoby się w poście poważył jeść mięso. Zdaje się jednak, że przepis ten nigdy stosowany nie był, gdyż później przodkowie nasi nietylko cały post wielki, ale nadto suche, krzyżowe dni, wigilie do każdej uroczystości i do poszczególnych patronów oraz środy, piątki i soboty jak najskrupulatniej suszyli.

Polacy, jedząc potrawy postne — jak pisze Zygmunt Gloger — nie zwracali uwagi na ilość spożywanych pokarmów. Za to w wielki piątek na pamiątkę męki Chrystusa wiele osób suszuło jak to i dziś ma miejsce. W pierwszych wiekach po wprowadzeniu chrześcijaństwa zachowywano u nas post wielki tak surowo, że od jego połowy, aż do Wielkiejnocy nie przyjmowano pokarmów ciepłych, ani gotowanych, jedząc wyłącznie chleb, ryby wędzone i suszone owoce. To właśnie dało w średnich wiekach początek zachowywanemu dotychczas przez lud zwyczajowi tłuczenia na półpoście garnków, jako naczyń niepotrzebnych. Wziąwszy stary garnek i napełniwszy go skorupami i popiołem, podbiegają swawolnicy ukradkiem i rozbijają z hukiem naczynie o drzwi lub okiennice śpiącego sąsiada. Dawniej w miastach kobiety mężczyznom, a ci kobietom idącym ulicą rzucali garni takie pod nogi, wołając:

— Półpoście, mości panie, lub mościa pani!

W czasie wielkiego postu milkły wszędzie pieśni światowe i wesołe, ustępując miejsca nabożnym, co lud wiejski dotychczas zachowuje. Kobiety zamiast strojów jaskrawych i świecideł, ubierały się skromnie, ciemno, w wielkim tygodniu — czarno.

Rok Burzy.

(Opowiadanie porucznika z r. 1863).

17. W RZĄDZIE NARODOWYM.

Na ulicy Smolnej. — Tajemna kancelarya. — Nagana generała. — Prezes Rządu. — Przymówki sekretarza.

Zstąpiłem ze schodów kamiennych, które od strony ulicy prowadziły do domu przechodniego i oglądając się dokoła, czy nie zobaczę gdzie ukrytego otyłego szpiega, zawołałem dorożkę. Kazałem mu podnieść budę i jeszcze raz rzuciwszy badawczo okiem na prawo i lewo, i nie spostrzegając nic podejrzanego, skoczyłem do powozu, mówiąc woźnicy, by ruszył na ulicę Smolną.

Przybywszy tam pod wskazany numer, wyszedłem z dorożki i płacąc za kurs, pilnie rozglądałem się na wszystkie strony, czy nie jestem ścigany. — Ulica Smolna wąska, ciasna, zabudowana wysokiemi kamienicami, mało ożywiona, była prawie pustą. Ani jednego fiakra na niej nie było, a kilku przechodniów biegło otulonych w płaszcze i palta, bo zimny wiatr jesienny wył przeraźliwie i mroził do kości

Przekonany, że jeżeli po rozstaniu się z Dusią, otyły szpieg śledził mię gdzie z jakiego ukrycia, to teraz wymknąłem mu się zupełnie, wszedłem, uspokojony przynajmniej co do tego, pod wskazany mi numer. Odźwierny wskazał mi mieszkanie pani Kirkorowej. Znajdowało się ono w niewielkiej oficynie bocznej na pierwszem piętrze.

Zadzwoniłem trzy razy z przestankami, jak mi nakazywała instrukcya i po stosunkowo dość długiem oczekiwaniu, usłyszałem szelest sukni kobiecej, drzwi cicho się otworzyły i ujrzałem przed sobą niemłodą, może czterdziestoletnią, nieco otyłą, silną brunetkę. Stała, trzymając drzwi na pół uchylone i wpatrywała się we mnie z niemem pytaniem na ustach. Skłoniłem się i szepnąłem:

— Ferdynando i Izabela.

Roztworzyła drzwi szeroko i rzekła:

— Proszę!

Gdym wszedł, zamknęła za mną drzwi starannie na zasuwę i tym samym półszeptem spytała:

— Czy porucznik Walery?

— Tak.

— Generał czeka na pana od dawna. Proszę tutaj!

Przeszła przez ciemny korytarzyk, na który wychodziło czworo drzwi, jedne z nich otworzyła i giestem zaprosiła mię do wejścia. Gdym to uczynił, drzwi za mną zamknięto.

W niewielkim pokoiku, o jednem oknie, starannie osłoniętem firankami, oświeconym przez lampę, bo mrok już padał, zastałem siedzącego przy biurku generała Bosaka, zajętego przeglądaniem jakichś papierów. Gdy usłyszał moje wejście, odsunął papiery, przykrył je przyciskiem, powstał i przystąpiwszy parę kroków, wyciągnął do mnie rękę i rzekł głosem stłumionym, nieomal szeptem:

— Jak się masz, poruczniku? Oczekuję cię z niecierpliwością. Spóźniłeś nieco i dlaczego?

— Nie mogłem przybyć wcześniej — odrzekłem głośno.

W tejże chwili generał, kładąc palec na ustach, przerwał mi:

— Tss! mów ciszej. Tam — tu wskazał na drzwi — pracują...

I siadając na swem miejscu przy biurku, wskazał mi proste, wyplatane krzesło i nachylając się do mnie, ciągle tym półszeptem, spytał:

— Dlaczego to nie mogłeś przyjść wcześniej?

Dlatego, że śledził mię szpieg jakiś i ledwie mu się wymknąłem, ale musiałem na to stracić nieco czasu.

Wiadomość ta zainteresowała nadzwyczajnie generała.

— Śledzono cię?... już... ledwieś przybył, już są na twym tropie? To bardzo źle, bardzo źle, mój poruczniku. Dlatego wezwano cię z głębokiej prowincyi, że jesteś nieznany policyi, a przynajmniej miała ona czas zapomnieć o tobie, a tymczasem pokazuje się, że jest inaczej. Ale wszystkiemu sam jesteś winien i muszę cię surowo zganić, że nie wypełniasz poleceń ci danych. Wiedz o tem, że gdyby nie dawniejsze zasługi i nie to, że znam twoją odwagę i poświęcenie, jakiego złożyłeś dowody w czasie mego przybycia do kraju, byłbyś oddany pod sąd wojenny...

Mówił to wszystko tym samym przykrym szeptem, wśród głuchej ciszy, jaka w tym dziwnym domu panowała, patrzał na mnie surowo i groźnie.

— Raczy generał darować — rzekłem — ale zupełnie nie wiadome mi są powody tych wyrzutów. Co zrobiłem? W czem nie wypełniłem instrukcyi?

— Instrukcya nakazywała panu pójść do kawiarni na ulicy Długiej o godzinie trzeciej po południu, wszak tak?

— Tak generale, ja też o trzeciej się tam stawiłem.

— Tak, ale rano tam także byłeś, a instrukcya panu tego nie nakazywała.

— Ale i nie zakazywała.

— To prawda, lecz w tem jest właśnie błąd i wina twoja. Nie wolno ci nic więcej robić nad to, co instrukcya nakazuje. Nie przypuszczałeś, byś idąc rano do tej kawiarni, w czemkolwiek wykroczył, a jednak zaszkodziłeś tym krokiem mocno sobie i sprawie. Zauważono cię zapewne i oto skutki... Jak wyglądał ten szpieg, który cię śledził?

Opisałem generałowi, jak mogłem najdokładniej, fizyognomię owego otyłego szpiega, od którego tak dziwnym sposobem uwolniło mię spotkanie się z Dusią.

— Aa! wiem... znam go! — zawołał generał — mamy tu nawet jego fotografię, Jan Bej Baranowski, prawa ręka kapitana Rotkircha... łotr nad łotrami, przebiegły, wytrwały... pochodzi z rodziny tatarskiej i zachował we krwi wszystką przebiegłość i wschodnią podstępność tej rasy. Rząd narodowy skazał go już od dawna na śmierć, a on sobie drwi z tego i przechadza się spokojnie po ulicach Warszawy. Raz trzeba z nim skończyć...

Wszystko to generał mówił z widocznem uniesieniem na pół do siebie, na pół do mnie, wreszcie spytał:

— Czy pewny jesteś, że stracił twój ślad?

— Jak najpewniejszy.

Byłem w obawie, by generał nie spytał się, na czem opieram tę moją pewność, gdyż w tym razie musiałbym kłamać, do czego zawsze czułem wstręt nieprzezwyciężony, a prawdy, ze względu na Dusię, powiedzieć przecież nie mogłem. Ale na szczęście generał widocznie czem innem był zajęty, bo nagle wstał i rzekł:

— Poruczniku Walery, przedstawię cię za chwilę pułkownikowi Trauguttowi*), prezesowi Rządu Narodowego. On ci da rozkazy i instrukcyę, jemu masz być posłuszny. Ja wyjeżdżam dziś wieczorem z Warszawy... zaczekaj tu!

*) Romuald Traugutt, z pochodzenia Litwin, był przed powstaniem pułkownikiem rosyjskim. Schwytany w końcu powstania przez policyę moskiewską, został powieszony.

To rzekłszy, ruszył na palcach do drzwi, znajdujących się w głębi i trzykrotnie zapukał. Rozległ się głos: »proszę?« i generał znikł za drzwiami.

Zostałem sam i począłem rozglądać się po pokoju, maleńkim, pełnym włóczących się po kątach cieni, prawie pustym, bo oprócz biurka i paru prostych, wyplatanych krzeseł, nic tu więcej nie było. Otaczała mię niczem nie zakłócona, przygnębiająca cisza. Wszystko w tym domu zdawało się być wymarłem. Byłem tak smutny, zostawałem pod tak bolesnem wrażeniem spotkania się z Józefiną, do której cała moja dusza się rwała, że nawet nie ciekawy byłem poznania owego tajemniczego prezesa Rządu Narodowego, do którego w innych warunkach mego serca i umysłu, byłbym się zbliżał z niezmiernym interesem. Teraz było mi obojętnem, myślałem tylko o tej ślicznej kobiecie, którą kochałem namiętnie, którą po tylu miesiącach niewidzenia, ujrzałem znowu w tak osobliwych okolicznościach. Łzy ciekące po jej bladej twarzyczce, jej niepokój, wzruszenie, obawy jakieś straszne, dreszczem mię przejmowały. Radbym jak najprędzej wyrwać się stąd, z tego domu zanurzonego w jakiejś rozpaczliwej ciszy i biedz do mego hotelu, gdzie może na mnie oczekiwała najmilsza z kobiet.

I czas dłużył mi się niesłychanie. Była chwila, żem się chciał zerwać i nie czekając na generała, uciec stąd i polecieć lotem strzały do hotelu, do mej ukochanej. — Na szczęście generał się zjawił. Wszedł jak zwykle bardzo cicho, drzwi za sobą zamknął i zbliżywszy się do mnie, rzekł:

— Pułkownik czeka na pana, mości poruczniku. Ja wychodzę. Życzę ci, byś cało wyszedł, byś nie przepadł na palącym bruku stolicy. Podaj mi rękę... pozdrowienie i braterstwo.

To rzekłszy, otworzył owe tajemnicze drzwi w głębi i wpuścił mnie do pokoju, w którym miałem ujrzeć mitycznego niemal dotąd dla mnie prezesa Rządu Narodowego.

Przy wielkiem biurku, zarzuconem papierami, oświeconem przez dużą lampę, osłoniętą abażurem tak, że górna część pokoju ginęła w mętnych, zielonawych cieniach, stał mężczyzna średniego wzrostu, szczupły, mizerny, jasny, popielaty niemal blondyn, z niewielkimi wąsami, twarzą bladą, z wyrazem głębokiego zamyślenia, powagi i skupienia się w sobie. Oczy niebieskie, spłowiałe nieco, rozmarzone, jakby zapatrzone nie zewnątrz, ale wewnątrz siebie, miał zakryte okularami i patrzał spokojnie, ale badawczo na mnie, gdym wszedł i stanął w pozie wojskowej przy drzwiach. Przez chwilę w tym pokoju, w tej ciszy niczem nie zamąconej, tak głuchej, że aż szumiało od niej w uszach, rozległ się głos łagodny, miękki, stłumiony:

— Zbliż się, poruczniku!

Uczyniłem, jak mi kazano, a pułkownik Traugutt, siadając sam, wskazał mi ręką krzesło obok biurka i rzekł:

— Usiądź, mamy ze sobą do pomówienia...

Przez chwilę znów panowało przykre milczenie i ta cisza, która działała na mnie jak niezdrowy narkotyk, aż wreszcie pułkownik Traugutt po jakimś głębokim namyśle, rzekł tym swoim półszeptem miękkim, łagodnym:

— Kazałem cię wezwać, poruczniku, tutaj, bo jesteśmy w takiem położeniu, że należy skupić koło władzy najwyższej narodowej wszystkich ludzi dzielnych, wszystkie serca odważne i poświęcające się. Mam o panu jak najlepsze relacye i pewny jestem, Rząd Narodowy jest pewien, że znajdzie w tobie człowieka, który wielkie usługi może sprawie oddać.

Skłoniłem się w milczeniu, choć przyznać muszę, że chwycił mię za serce tym swoim tonem spokojnym, równym, przenikającym do głębi duszy.

— Dotychczasowa działalność — mówił dalej — do niczego nie doprowadziła; na innych podstawach musimy walkę prowadzić, ufać Opatrzności, nie lękać się niczego. Jesteśmy wszyscy skazani na śmierć z ręki wroga. Wcześniej czy później padniemy ofiarą, ale czyż dlatego mamy ręce założyć i nic nie robić?

Umilkł znowu, głowę spuścił na piersi i zdawał się pogrążać w jakieś posępne dumy, które w atmosferze drzemiącej tego pokoju rosły, ogarniały wszystko sobą, owładały nawet mym trzeźwym umysłem. Od tej głowy pułkownika Traugutta, na pół łysej, o wielkim czole, szedł jakiś mistyczny prąd biernej ofiarności, poświęcenia cichego, przypominającego pierwsze wieki chrześcijaństwa. Owionął mię jakiś senny duch spokojnej ofiary, jakieś nieziemskie uniesienie, egzaltacya wielka, ale spokojna, a pułkownik tymczasem szeptał:

Chciałem pana poznać, bo dobrze jest znać ludzi, z którymi się działa, z którymi ma się iść na szubienicę... Nie dam panu w tej chwili żadnych instrukcyj .. nie... Gdy będę miał jakie rozkazy dla pana, zakomunikuję je panu przez jednego z moich sekretarzy, pana Zygmunta Sumińskiego... Znasz go?

— Nie.

— Owszem, znasz go. On cię tu dzisiaj przysłał!...

— Ach! to ten pan... w kawiarni?

— Tak. On panu powie, co masz czynić, jak rownież, gdybyś miał jakiś interes, nie przychodź tutaj, ale zakomunikuj mi go przez Sumińskiego. To wszystko. A teraz jedno ostrzeżenie. Unikaj wszelkich znajomości, staraj się być w Warszawie człowiekiem zupełnie obcym dla każdego i wszystkich. Nie jest to tylko ostrzeżenie, ale rozkaz. Zbyt ważne sprawy, mam nadzieję, powierzone ci zostaną, by je można było lekkomyślnie narażać.

Wstał i gdym to samo uczynił, podniósł rękę, pożegnał mię i szepnął:

— Niech cię Bóg ma w swej opiece!

Wyszedłem głęboko wzruszony. W pokoju, w którym rozmawiałem poprzednio z generałem Bosakiem, na jego miejscu przy biurku, tyłem do drzwi siedział jakiś mężczyzna, z głową wspartą na obu rękach i widocznie zamyślony głęboko, gdyż nie słyszał mego wejścia. Dopiero gdy postąpiłem parę kroków, zerwał się szybko i zwrócił się do mnie. Po fantastycznie rozburzonych, ciemnych włosach, po ostro zarysowanym profilu i stalowem wejrzeniu dużych oczów, poznałem mego nieznajomego z kawiarni, pana Sumińskiego, jak go nazywał prezes Traugutt. Zbliżył się do mnie i podając rękę, rzekł tym półszeptem, którym tu wszyscy w tym domu mówili.

— Wiem o wszystkiem.

— O czem?

— Ścigał cię Jan Bej. Ale, bój się pan Boga, skąd znasz żonę kapitana Rotkircha?

Na razie nie mogłem zrozumieć, o co panu Sumińskiemu idzie, więc spytałem:

— Ja?.. żonę kapitana?...

— Nie zapieraj się, widziano cię rozmawiającego z nią, i ona to uwolniła cię od pościgu Jana Beja.

Teraz zrozumiałem wszystko. Jak błyskawica przebiegła mi przez głowę jasna, wyraźna myśl. Więc Dusia, moja ubóstwiana Dusia, jest żoną tego łotra Rotkircha, z którym przypadek zetknął mię dwukrotnie w mem życiu, w okolicznościach najdramatyczniejszych i najdziwaczniejszych. Teraz pojąłem

odrazu, dlaczego Józefina tak starannie zawsze ukrywała nazwisko swego męża, otaczała się taką tajemnicą i dlaczego szpieg Jan Bej, ujrzawszy mię z nią, z widocznym wyrazem zdziwienia na twarzy, ukłonił się jej i przestał mię ścigać. Oczywiście widząc mię rozmawiającego poufale z żoną swego bezpośredniego zwierzchnika, wyciągnął stąd wniosek, że ja nie mogę być osobą podejrzaną, może nawet nabył przekonania, że ja należę do ich łajdackiej konfraterni. Wszystko to w jednej chwili przebiegło mi przez głowę, oblało purpurą moją twarz. Zmieszany mocno, odrzekłem:

— Znam ją od dawna, ale daję panu słowo uczciwego człowieka, że nie wiedziałem, — że ona jest żoną kapitana Rotkircha.

Nie bardzo temu dowierzał, na jego wąskich ustach zawisł ledwie dostrzegalny uśmiech i rzekł:

— Nie mam żadnego prawa robienia panu uwag, lub też wchodzenia w pańskie stosunki prywatne. Muszę jednak ostrzedz pana... że w sprawie takiej, jak nasza... należy zapomnieć o istnieniu kobiet na świecie. Przytem dam panu dobrą radę. Policya nasza... mówię nasza... ma pana w mocnem podejrzeniu, wskutek owego dziwnego spotkania z panią Rotkirchową... Radzę panu zobaczyć się z tak zwanym Władkiem Zezowatym i wyjaśnić mu tajemnicę pańskiego osobliwszego stosunku.

— A gdzie ja mogę z tym panem zobaczyć się?

— On będzie u pana... może dziś jeszcze.. może jutro... A teraz jeszcze słówko. Widziałeś się pan z prezesem?

— Wracam od niego.

— Czy mówił co panu o pani Teresie?

Zapomniałem zupełnie o tej kobiecie, która jak cień przesunęła się przez moje życie, dla której niedawno popełniłem najryzykowniejszy, jaki można było uczynić, krok, dla zwolnienia której zostałem wysłany do stolicy.

— Nie — odrzekłem — nic mi nie mówił. Cóż się z nią dzieje?

— Wiemy dobrze — zauważył pan Sumiński — o pańskim ryzykownym kroku na kolei.

— Wiecie panowie! — zawołałem — a skąd?

Sumiński uśmiechnął się tym swoim zaledwie dostrzegalnym uśmiechem i szepnął:

— My o wszystkiem wiemy, ale o to wcale nie idzie. Mogę tylko panu powiedzieć, że krok ten, którego nie pochwalam, bo inne rozwiązanie sprowadziłoby bardzo opłakane następstwa, w oczach naszej policyi zrobił pana bohaterem. Oni tam lubią takie czyny... szalone, i to zaciera do pewnego stopnia złe, bardzo złe wrażenie, wywołane wskutek osobliwszego pańskiego stosunku z żoną pana Rotkircha. Ale to do rzeczy nie należy. Pan znasz Wiktora, zwanego także Sylwestrem?

— Znam.

— To dobrze. A teraz do widzenia, wkrótce dam panu znać o sobie. Pozdrowienie i braterstwo!

Skłonił się, nie podając mi ręki i na palcach podszedł do drzwi, za którymi znajdował się pułkownik Traugutt i dyskretnie po trzykroć zapukał.

Nie miałem tu już co robić i wyszedłem na korytarz, gdzie spotkałem panią Kirkorową z zapaloną latarką w ręku.

— Czekałam na pana — szepnęła — już jest ciemno, a pan może nie wiesz, że u nas w Warszawie nie wolno jest chodzić bez latarki zapalonej. Weź ją pan, jutro mi oddasz. Do widzenia!

Otworzyła drzwi na schody i wypuściła mię, nieomal wypychając. Wyszedłem z głową pełną najróżnorodniejszych i najprzykrzejszych myśli.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nowe książki.

Wanda Girbert-Studnicka: **Obrazki polskie.** Lwów, 1912 r. Nakładem Macierzy Polskiej. Cena 1 Kor.

Ażeby uprzystępnić jak najszerszym warstwom poznanie dziejów ojczystych, wydała Macierz Polska książeczkę, liczącą 154 stron druku, pod powyższym tytułem. Jak już sam tytuł powiada, nie są to dzieje Polski w ścisłem tego słowa znaczeniu, ale przedstawione są najważniejsze zdarzenia i postaci z naszej przeszłości, aby czytelnicy mogli sobie z dziejów przyswoić to, co im niezbędnie potrzebne. Mamy tam więc barwnie opisane to, co działo się w Polsce tysiąc lat temu, o pierwszych królach polskich, o wypadkach po śmierci Bolesława Krzywoustego, o Władysławie Łokietku, Jagiellonach i t. d. aż do rozbiorów Polski za Stanisława Augusta Poniatowskiego. W dalszych rozdziałach opowiada autorka o bolesnych i wiekopomnych wysiłkach narodu polskiego w celu podźwignięcia się z ciężkiej niedoli a kończy wspomnieniami o ostatniem powstaniu w 1863 roku. Po każdym rozdziale jest pomieszczona »czytanka«, więc opowieść jakaś, działająca na wyobraźnię a zdolna utrwalić w pamięci przedstawione fakty. Tekst zdobi kilkanaście obrazków i mapa Polski. Słowem książeczka zasługuje na jak najszersze rozpowszechnienie.

Michalina Mossoczowa. **Krwawe dzieje.** Lwów, 1913 r. Nakładem Macierzy Polskiej. Cena 40 hal.

Pod powyższym tytułem wydała Macierz Polska jako nr. 78 swej Biblioteki, książeczkę liczącą 65 stron druku z obrazkami, w celu uczczenia pięćdziesiątej rocznicy powstania styczniowego. Autorka podzieliła historyę powstania na dziesięć rodziałów, w których barwnem słowem maluje owe krwawe wysiłki narodu polskiego, aby zrzucić ciężkie jarzmo niewoli moskiewskiej. Już tytuły rozdziałów wskazują treść książki. Brzmią one: 1. Iskry w popiele. 2. Pięciu poległych. 3. Margrabia Wielopolski. 4. Branka. 5. Chłopi a powstanie. 6. Obóz Langiewicza. 7. Jak nam Europa pomagała. 8. Wojna. 9. Wyprawy galicyjskie i wielkopolskie. 10. Stłumienie powstania. — Szczególniej rozdział piąty, objaśniający, dlaczego mało włościan brało udział w powstaniu, zasługuje na baczniejszą uwagę. Z całej książeczki wieje głębokie ukochanie ojczyzny i chęć wzbudzenia tej miłości we wszystkich sercach polskich, to też należy jak najgoręcej polecić ją wszystkim, którym odrodzenie ojczyzny leży na sercu, zwłaszcza że przystępna cena wielce zachęca do jej nabycia.

Piotr Choynowski: **Historya naiwna.** Nowele. Kraków, Spółka nakładowa »Książka«.

Piotr Choynowski jest jednym z najmłodszych nowelistów, gdyż wydał dopiero drugi tom swych nowel, a już można go zaliczyć do pisarzy, którzy zajmują poważne stanowisko w literaturze. Najnowsza książka obejmuje 6 nowel. Tematem są rzeczy napozór drobne, ale w rzeczywistości mogące człowieka uszlachetnić lub zupełnie wypaczyć. Szczęśliwe podpatrzenie życia ludzkiego w jego drobiazgach, żywy i potoczysty styl, treść zajmująca czynią książkę miłą dla każdego czytelnika.

Wacław Sieroszewski: **Zacisze.** Powieść. Kraków, Spółka nakładowa »Książka«.

Znany ten powieściopisarz w najnowszym swym utworze przedstawia życie dworów polskich w zaborze rosyjskim i stosunki tego dworu z ludem wiejskim. Usiłowania dworu, aby żyć z ludem dobrze, pełzną często na niczem z powodu podburzań ludu przez urzędników rosyjskich, w czem niejednokrotnie żydzi im pomagają.

Św. Piotr zapiera się Pana Jezusa.



Dopóki Pan Jezus nie zesłał Ducha świętego na Apostołów, Ci mimo wiary gorącej w Bóstwo Chrystusa, mimo licznych Jego cudów byli tylko słabymi i ułomnymi ludźmi, którzy życie swe przedkładali nad wszystko. Nic też dziwnego, że po pojmaniu Jezusa nie narzucali się zbyt żydom na oczy, obawiając się, aby ci ich także na śmierć nie powiedli. Nawet najpierwsi z Apostołów Piotr z Janem, gdy wiedziono Pana Jezusa od Annasza do arcykapłana Kaifasza, szli za Nim wprawdzie, ale z daleka. W pośrodku podwórza był ogień wzniecony, przy którym grzali się słudzy, gdyż było zimno. Św. Piotr, chcąc dowiedzieć się, jak się skończy sprawa Pana Jezusa, zatrzymał się przy nich. Wtedy nadeszła odźwierna, a poznawszy go, rzekła:

— I tyś był z Jezusem Nazarańskim?

Święty Piotr przeląkł się i odpowiedział:

— Nie znam Go!

A kur zapiał po raz pierwszy.

Wkrótce potem jeden z przechodzących sług, wskazując na Piotra, powiedział:

— I ten jest jeden z uczniów Jego!

A Piotr, zaręczając, mówił:

— Nie znam tego człowieka!

Po chwili znowu przyszli inni a wskazując Piotra, mówili:

— Prawdziwie, i ty jesteś jeden z nich, boś jest Galilejczykiem i mowa twoja cię zdradza.

Św. Piotr począł się przeklinać i przysięgać, iż nie zna tego człowieka. I w tejże chwili kur zapiał po raz drugi.

Wtenczas Pan Jezus obrócił się i spojrzał na Piotra. Wzrok Chrystusa wzruszył go do głębi. Wspomniał wtedy na przepowiednię Pana Jezusa:

— Jeszcze tej nocy, nim kur po dwakroć zapieje, ty Mię się po trzykroć zaprzesz.

Przypomniał sobie Apostoł te słowa Zbawiciela i żal tak wielki go ogarnął, że począł płakać, jak dziecko.

Obrazek nasz przedstawia właśnie chwilę, gdy Piotr św. poraz pierwszy zapiera się Jezusa. W głębi widać Chrystusa prowadzonego przez żołdaków a na dole siedzących koło ognia i świętego Piotra stojącego obok.

Kilka słów o pańszczyźnie.

Pańszczyzna w Polsce.

Czy pańszczyzna, kiedy się rozpowszechniła w Polsce w XV wieku, była bezprawiem, zaborem, gwałtem? Nie! Ona istniała dawniej, wyłania się w samych początkach naszego narodu. Polscy dziedzice przyszli do posiadania ziemi i ludu drogą prawną, bo otrzymywali ją z rąk panującego, któremu lud się z własnej woli poddał! Wieśniak był z swego położenia zadowolony, bo o nic nie potrzebował się troszczyć, uprawiał swobodnie rolę dziedzica, spełniał posługi dworu według wskazówek pana. Czy miał jakie wykształcenie? Umiał zaledwo pacierz. Obchodził się bez oświaty, nie występował przeciwko ówczesnemu porządkowi, bo myślał za niego, starał się o jego dobrobyt pan — szlachcic.

Weźmy pod uwagę n. p. kwestyę uprawy roli. Jak mógł być wówczas wieśniak dobrym rolnikiem, kiedy mu brakowało doświadczenia i narzędzi. Kiedy do orki używał wołów, soch, płużyc drewnianych, koła do wozów wyrabiał z całych kawałów drzewa lub z brzostu robił obręcze. Tu pan był mu nauczycielem. On więcej od chłopa wiedział i umiał.

A czem była wówczas szlachta dla państwa? Wszystkiem! Miała wprawdzie wielkie przywileje, lecz i obowiązki ciężkie. Nic dziwnego, że przyszła do przewagi nad mieszczaństwem i włościanami, bo pierwsze nie chciało — drugie nie potrafiło podjąć się ciężarów publicznych. Mieszczanie, osiedleni na prawie niemieckiem, obojętni byli na losy Rzeczypospolitej, chłop zaś nie dorósł do zadania. Szlachic natomiast krzątał się, zabiegał około dobra kraju, składał dla niego duże ofiary, toć mu nie zazdrośćmy, że doszedł do przewagi, znaczenia, przywilejów. To mu się chyba należało!

Wszak szlachcic za owych czasów był ciągle żołnierzem: więc bronił granic Polski, walczył za wieśniaka, jego rodzinę — a tych walk było wiele — w razie potrzeby kładł życie i majętność w obronie swej Ojczyzny. On sprawował urzędy senatorskie, nadworne i ziemskie. Przewodniczył w naradach, zasiadał w trybunałach, posłował na sejmach. Był sędzią, skarbnikiem, stróżem dobra narodowego. I on odrabiał żmudną pańszczyznę na gruncie publicznym. Wieśniak patrzył na to, rozumiał te trudy, więc mu nie była ciężką danina pracy ręcznej, czuł się obowiązany do pomocy swemu przodownikowi i dobroczyńcy.

Lecz z czasem zaczął gasnąć w szlachcie zapał do ofiar, milknął głos obowiązku, który ją do służby Rzeczypospolitej powoływał. Poczęła się szerzyć obojętność na los Ojczyzny — z dawnej wielkości pozostały tylko wygórowane pretensye i ambicya. Domagała się szlachta, zepsuta lenistwem, zachowania dawnych praw i przywilejów, a uciekała przed obowiązkami, które szły za niemi. Wtedy zmieniły się i wiejskie stosunki! Dawna zacność i miłość dziedzica względem poddanego chłopa, wyrodziła się w samowolę i ucisk. Panowie narzucili włościanom swą władzę, kazali na siebie pracować, nie troszcząc się o dobrobyt wiosek. A chłop co na to? Szczery, powolny i zgodny z natury lud polski, nie oburzył się na to bezprawie, z czasem przywykł do gorzkiego jarzma i, zapomniawszy o dawnem, swobodnem pożyciu, cicho przetrwał całe wieki w poddaństwie.

Dopiero z chwilą, kiedy »mury Rzeczypospolitej zaczęły się rysować«, umysły trzeźwo myślące zwracają uwagę na zaniedbany stan włościański. Za panowania Augusta III, książęta Czartoryscy przedsiębrali w dobrach swoich pewne ulepszenia, zmniejszając ciężary włościan z biegiem lat narosłe. Andrzej Zamoyski, proponując radykalną reformę, obalającą niemal zupełnie dawną pańszczyznę, widział, że wolność i własność bez religii i oświaty na mało się przydadzą, i za pierwszy warunek uwłaszczenia chłopów kładł zakładanie szkółek parafialnych.

Aż wreszcie nadszedł Sejm Czteroletni (1788 do 1791), na którym, oprócz innych zbawiennych dla Polski reform, poruszono i bardzo przychylnie roztrząsano sprawę wiejskiego ludu, którego dolą zajmował się król Stanisław Poniatowski i zaraz po koronacyi wypowiedział pamiętne zdanie:

— Póty nie mam w duszy mojej spokojności, póki dziedzic przywłaszcza sobie moc życia i śmierci nad poddanym, póki trochą pieniędzy odkupić można zabójstwo chłopa!

Już też w roku 1768 Sejm odjął panom prawo śmierci i życia nad poddanym, a król Stanisław August ustanowił wtedy przy sądach »patrona ludzi ubogich«, który zajmował się z urzędu, bezpłatnie ich sprawami. W roku 1769 ks. Paweł Brzostowski usunął w swych dobrach, Pawłowie, pańszczyznę, zastępując ją czynszem i daninami. Ks. Karpowicz w Wilnie bronił chłopów w kazaniach jubileuszowych, a ks. Popławski żądał polepszenia stosunków włościańskich i podawał obszerne projekty rozpowszechnienia oświaty między ludem. W Sejmie czteroletnim szermierzami sprawy chłopskiej są: Staszyc i ks. Kołłątaj, a Niemcewicz, tak przemawiał:

— Ja w tem miejscu mówić za chłopami mam za największą chlubę, bo nie mają oni reprezentantów, którzyby się o nich domówili. Do kogo ma się udać chłopek, jeśli pan narzuci mu podatek?

To też przy podatku gruntowym dodano zaraz warunek: ten podatek na dwory, a nie na rolników.

Wiele pod względem pańszczyzny zaważyła Konstytucya 3 maja 1791 r., bo w niej pomyślano o maluczkich. Echa jej litośne zabiegły w masy ludu, coś wśród niego tleć poczyna, przychodzą z Francyi wieści o »prawach człowieka«, wieśniak poczyna myśleć, czuć, do czynu się porwał w powstaniu Kościuszki, gdzie dla niego zaświtał promień wyzwolenia z pod zastarzałej reguły poddaństwa, wtedy wolność włościan rzeczywiście weszła w życie narodu.

Konstytucya 3 maja w 4 art. odnośnie do ludu ustanawia:

— Lud wiejski ma doznawać opieki rządu; wszystkim układom, zawartym między dziedzicami a poddanymi, nadaną zostaje moc prawna. Wolność zupełna ogłoszona dla każdego, ktoby się chciał w Polsce osiedlić.

Punkt ten wydawał się niektórym patryotom za niedostateczny. Adam Rzewuski uważał »prawo za chłopami za niedość jasne i zabezpieczające wolność i własność nędznego kmiotka od wysilonej na jego zgubę dumnej chciwości szlachcica«.

Zacny ks. P. Brzostowski pisał do króla: »Imieniem wszystkich chłopów zanoszę pokorną prośbę: Nie przyćmisz, Najjaśniejszy Panie, chwały sobie i narodowi, gdyż ulżysz jarzmo tym, którym słusznie ulżyć przynależy«.

Ks. Trzcińtki żądał dla chłopów wolności osobistej i zamiany robocizny na czynsz; pułkownik Komorowski złożył królowi obszerny plan co do umów dziedziców z chłopami. Wobec takich przykładów poczęła szlachta zmieniać swój stosunek do poddanych. A jak zbawienny skutek przynosiło ludzkie i łagodne obchodzenie się z chłopami, dowodzi fakt, że we wsi Pawłowie złożyli wieśniacy na ręce dziedzica swego, księdza Brzostowskiego, 4000 złotych polskich na kupno dwóch armat dla Rzeczypospolitej.

Ks. Paweł Wieczorek.

Po Zawierusze.

Powieść wiejska z niedawnych lat

---

10. Śmierć staruszka.

Od czasu owego upłynęło lat dziesięć.

Dziesięć lat! Kawał to czasu niemały — przeszedł on dla Zarzecza cicho, jednostajnie, bez nagłych wstrząśnień i zmian gwałtownych. Wszystko było jak niegdyś, tylko drzewa już cień większy dawały i rozrosły się bardziej, tylko w folwarku kilka nowych przybyło budynków. Zniknął ślad pogorzeliska, nie masz już zgliszczy dymiących, wszystko zdaje się odradzać, do nowego życia wyrywać...

I któżby powiedział, że ta ziemia, pokryta zbożem bujnem, dźwigająca na sobie tyle istot żyjących, zestarzała się o całe lat dziesięć, kiedy jeszcze jest taka młoda, taka żyzna a piękna! Czas nie odbiera jej nigdy uroku młodości, on tylko dzieła rąk ludzkich niweczy, a na czołach naszych bruzdy orze.

Wśród lśniacych, czarnych jak krucze skrzydło, włosów pani Karolowej, przewijają się gęściej nitki srebrne, ale twarz nie straciła piękności dawnej. Z wyrazu oczu więcej już pogody, więcej nadziei przebija, a na ustach błądzi czasem uśmiech, a biała ręka nie jest tak wyszczuplała i sucha, jak dawniej.

W sercu tej kobiety nie wygasła jeszcze i tęsknota i żal. Samotna, jak dawniej, czeka jeszcze — ale czeka z nadzieją,' z pewnością już niemal, że dni smutków są policzone. Listy może częste, coraz częstsze bywały i nadzieja rosła — a stary, wierny, jak zawsze, Dyrdejko, z niecierpliwością ziszczenia się tej nadziei wyglądał.



...Zobaczywszy ją, na poduszkach się uniósł.

Oczekiwał, wyglądał. Czuł, że mu lata już ciężą, sił braknie, że jakaś niewidzialna dłoń żelazna schyla mu głowę ku ziemi. Często w zadumę wpadał i dziwna, niewytłómaczona ogarniała go tęsknota.

Ów silny, krępy Żmujdzin, do nie poznania się zmienił, Dreptał wprawdzie jeszcze po folwarku, niekiedy kałamaszką małą w pole wyjeżdżał, ale czuł biedak, że mu już sił braknie i nogi odmawiają posłuszeństwa. Już teraz wygód większych potrzebował, snu więcej, a zdarzało się czasem, że na krześle usiadłszy, głowę schylił na piersi i drzemał. Sił brakło. . Gęste włosy zbielały mu całkiem, jak mleko, twarz pokryła się licznemi zmarszczkami. Uśmiech rzadko się na tej twarzy pojawiał, ale za to, gdy w marzeniach starowina utonął, gdy obrazy minionych czasów przywoływał na pamięć, to do oczu napływały mu łzy i dużemi kroplami spływały po twarzy.

Z upadkiem sił i zdrowia wymykał się także zarząd gospodarstwem z rąk Dyrdejki. Pani Karolowa, która była ciągłym świadkiem pracy Żmujdzina i zrozumiała doskonale jego pracę, teraz, nieznacznie, stopniowo, sama obejmowała rządy, a czyniła to ze staraniem szczególnem, aby nie dać poznać Żmujdzinowi, że już stary i słaby, że steru w drżących rękach utrzymać nie może.

Nominalnie wszystkiem zarządzał Dyrdejko, w każdej kwestyi zasięgano jego rady, a klucze od spichrza Marcin co wieczór regularnie do stancyjki pana Fulgentego odnosił i o całym dniu relacyę dokładną zdawał.

To przekonanie, że jest jeszcze użytecznym, że pracuje — utrzymywało Dyrdejkę przy życiu i przy Żarzeczu. Gdyby nie ono, nie chciałby starowina chleba darmo jeść — i powlókłby się pewno do swoich Dziundziszek, śmierci czekać, tak, jak teraz przyjazdu Karola oczekiwał.

Starano się uprzyjemniać chwile staremu. Celowała w tem szczególniej Helenka, która już na piękną pannę wyrosła. Umiała ona zawsze zabawić i rozweselić Żmujdzina. Dźwięcznym, metalicznym głosem czytywała mu często Mickiewicza, którego starowina bałwochwalczo uwielbiał. Stary słuchał, zachwycał się, płakał nieraz, a piękną swą czytelniczkę po rączkach całował i najdroższą swoją wnuczką nazywał. W szachy też z sobą często grywali, a że Dyrdejko miał szczególną do strategii słabość, więc też plany szerokie rozwijał, ożywiał się, a cieszył każdem wzięciem figury, każdem posunięciem szczęśliwem. Z wygranej radował się jak dziecko.

Helenka udawała, że się martwi, że ją ta przegrana bardzo żywo obchodzi, a Dyrdejko śmiał się, cieszył, potem zmęczony ciszej już mówił, aż nareszcie w zwykłą swą zadumę zapadł, głowę na poręczy krzesła oparł i — usnął. Wówczas Helenka z troskliwością, jak matka dziecku, poduszeczkę małą wsuwała Dyrdejce pod głowę i po cichutku wychodziła z pokoju.

Ze wszystkich dzieci pani Karolowej jedna tylko Helenka znajdowała się w domu obecnie. Janek już szkoły skończył i w instytucie rolniczym się kształcił. Władzia była w Warszawie na pensyi — Helenka tylko, ukończywszy edukacyę, powróciła pod strzechę niskiego dworku w Zarzeczu.

Noc była, lutowa.

W dworku i folwarku spali już wszyscy od dawna, tylko w stancyjce Dyrdejki, w oficynie, paliło się światło.

Wicher hulał po polach, tumany śniegu rzucał, drzewami staremi wstrząsał. Ciężko było na świat wyjrzeć — psy nawet tuliły się pod budynkami, skomląc żałośnie, taki szkaradny był czas tej nocy. Dyrdejko w stancyjce swojej leżał. Światło lampy

padało na jego twarz, jak wosk żółtą, na oczy głęboko zapadłe... pierś podnoszącą się z trudnością. Wyschłe ręce starca skubały ciągle kołdrę, wzrok utkwiony był stale w punkt jeden. Po chwili chory wyciągnął rękę, wziął dzwonek ze stolika przy łóżku i głośno dzwonić zaczął.

Na ten dźwięk dziewczyna zaspana, w ogromnej chustce na głowie, do pokoju weszła. Żmujdzin, zobaczywszy ją, na poduszkach się uniósł i słabym głosem rzekł:

— Marcina zawołaj...

Nie w smak to było dziewczynie biedz w nocy na folwark, tem bardziej, że wichura nabawiała ją trwogi, ale spojrzawszy na twarz chorego, domyśliła się zaraz, że o coś ważnego tu idzie... Przeżegnała się też kilkakrotnie i boso pobiegła po śniegu, a po chwili całą siłą pięści kołatała do okienka w czworaku, wołając:

— Marcinie! a wstawajta-ze duchem!

Wstał stary, obuł się, kożuch wziął na siebie i poszedł, chcąc dziewkę rozpytywać po drodze, ale nie dowiedział się wiele.

— A juści — rzekła — mom gadać? Dobrze wom w butach! a mnie ten śmig, psia dusa, parzy jak zielazo po nogach.

Miała słuszność Magda — i zanim Marcin dziesięć kroków uszedł, ona już była w sieni. Chłop po cichu do stancyjki się wsunął i przy drzwiach stanął, »pochwalony« rzekłszy. Dyrdejko skinieniem ręki przywołał go bliżej.

— Słuchaj-no, Marcinie — rzekł głosem słabym — źle ze mną...

— Dyć je Bóg miłosierny, panie, poratuje...

— Ja też już tylko Boskiego poratunku pragnę i dlategom cię budzić kazał.

— Cy według dochtora moze?

— Eh! bajesz także ty, Marcinku, z doktorem; doktor cudu nie zrobi! Śmierć idzie. Ot, ty do sanek każ zaprządz i po księdza mi pojedź, a pośpiesz, pośpiesz braciszku, bo już dnia nie doczekam może.. proboszcza samego poproś.

Chłop, milcząc, do odejścia się zabierał, Dyrdejko jeszcze skinął na niego.

— Tylko, mój Marcinie, mój stary, po cichutku to zróbcie — dzwonka do sanek nie brać, pań nie budzić, niech one śpią spokojnie.

Marcin prędko sprawić się przyrzekł, a załzawione oczy rękawem ocierając, nachylił się nad chorym i szepnął:

— Je Bóg Wsechmogący, On przemieni...

I z temi słowy wysunął się z pokoju. O ile stare nogi pozwalały, szybko do stajni pobiegł, fornala obudził i nie upłynęło dziesięć minut, a już wyjechali z folwarku.

Śnieg pozawiewał wszystko, nigdzie śladu drogi, konie stąpały ostrożnie, parskając, węsząc drogę, schylały coraz łby ku ziemi, jakby chcąc ślady znaleźć. Ale gdzie tam ślad jaki? Trzeba się było zdać na instynkt zwierząt, bo nawet chłopskie oko, do ciemności i do dróg nocnych przyzwyczajone, nie mogło nic rozróżnić. Zaraz za folwarkiem stracili drogę, sanki uderzały o zagony, konie zapadały w rowy, jamy jakieś, Marcin głowę tracił...

Gdy stary Gajda z fornalem, wśród zamieci i wichru przebijali się przez zaspy śnieżne, dążąc ku Kościelnej, w Zarzeczu na folwarku i we dworze ruch się zrobił; we wszystkich prawie okienkach zajaśniało światło. Uśpionych zaalarmowała Magda, która lękając się być blisko konającego, pobiegła zaraz do kuchni i pobudziła służbę.

Na krzyk, że »rządca« umiera, zerwali się wszyscy na nogi. Pani Karolowa z Helenką, ubrawszy się naprędce, wnet do oficyny pośpieszyły.

Dyrdejko nieprzytomny prawie, z oczami na wpół przymkniętemi, leżał. Pochyliła się nad nim Helenka i mówić do niego zaczęła. — Chory oczy otworzył i uśmiechnął się do niej. Podali mu łyżkę wina starego. Widocznie orzeźwiło go ono, gdyż rękę do pani Karolowej wyciągnął i cichym głosem przemówił:

— Dzień to już, czy noc jeszcze?

— Noc, noc — odparła — widocznie było jakieś osłabienie chwilowe, dzień nadejdzie, z nim polepszenie i ulga.

— A czy Marcin pojechał? — spytał Żmujdzin?

— Już, już, co tchu popędził, tylko co go nie widać.

— To dobrze, dobrze, pani kochanieńka, chciałoby się po chrześcijańsku umrzeć, z Bogiem i ludźmi pojednać...

I znów głowa starca na poduszki opadła. Helenka jeszcze mu trochę wina podała, chory je wypił i w senność wnet zapadł.

Pani Karolowa uklękła przy oknie i modliła się rzewnie. Helenka siedziała przy łóżku i załzawionemi oczyma patrzyła w twarz starca

Magda po stancyjce się krzątała, nakryła stolik serwetką białą, świece w srebrnych lichtarzach z dworku przyniosła. Rozpoczęły sin przygotowania smutne. Żmujdzin spał ciągle. Stary zegar gdakał miarowo, minuty za minutami upływały, a każda tak się ciężką zdawała, tak długą...

Switać już zaczynało. Na dziedzińcu ukazały się sanki. Fornal spienione konie przed oficyną osadził. Z sanek wysiadł ksiądz z Marcinem.

Rozległ się cichy dźwięk małego dzwonka, a na ten odgłos Dyrdejko oczy szeroko otworzył. Uniósł się na łóżku, westchnął i wyschłą ręką skinął. Wszyscy wyszli z pokoiku, tylko spowiednik przy chorym pozostał.

Długo trwała ta spowiedź, w której nabożny Żmujdzin obrazy całego życia swego przedstawiał, a gdy już Sakramenta przyjął, pragnął jeszcze z panią Karolową pomówić. Nagle jednak inna myśl do głowy mu przyszła...

— Marcina mi tu przyślij, księże proboszczu — rzekł — mnie z nim trzeba w cztery oczy pomówić.

Ksiądz, uścisnąwszy serdecznie dłoń starca, poszedł do dworku, gdzie oczekiwano na niego, a po chwili Marcin przywołany przyszedł.

Dyrdejko, pocieszony już, spokojny, rzeźwiejszym się zdawał. Nie leżał, lecz siedział raczej na poduszkach oparty, głos miał pewniejszy i wogóle polepszenie czuł znaczne.

— Marcinie — rzekł do chłopa — żyliśmy tyle lat po Bożemu i zgodnie... ty więc i teraz nie odmówisz mi ostatniej przysługi?

— A co pan chcą? — zapytał po cichu.

Dyrdejko ręką pod poduszkę sięgnął i pęczek kluczy wydobył.

— Weźno ten kluczyk maleńki — tam pod ścianą dębowa skrzyneczka stoi — otwórz ją.

Chłop skrzynkę na stole postawił i otwierać zaczął.

— Tam — ciągnął Dyrdejko — woreczek taki szary znajdziesz, nieduży — a co, jest?

— Je, panie, worecek, maleńki akuratnie.

— To weź że ty jego, mój bracie i przyjdź tu z nim bliżej, do łóżka; a wiesz że, co tam w nim jest w środku?

— Nie wiem, panie, cięskie cościć jak piosek.

— Nie piasek to, Marcinie, nie piasek, ale garstka ziemi... świętej ziemi, mój bracie, ze Żmujdzi, stamtąd, gdziem się urodził.

— Daleko to stąd?

— O daleko, daleko, mój stary. Widzisz więc, jak ja umrę, to ty mi oczy zamkniesz i na nie tej ziemi nasypiesz. Wszak zrobisz mi to, mój Marcinie, nie odmówisz mi tej przysługi ostatniej?

Chłop załzawione oczy ocierał.

— A dyć ja myślałem, ze wielmozny pan mnie staremu garść ziemi na trumnę rzuci...

— Wola Boga, braciszku — szepnął z cicha Dyrdejko — nie tu ja chciałem umierać — a no Bóg zrządził. Pójdźno ty jeszcze, pani i panienki tu poproś, niech ja popatrzę na nich.

Nie trzeba było prosić, gdyż w tej chwili pani Karolowa z Helenką do stancyjki weszły.

— Pani kochanieńka — mówił Dyrdejko, ujmując rękę zapłakanej kobiety — i ty, Helusiu, kochana, przebaczcie, jeślim wam w czem ukrzywdził lub obraził, nie wspominajcie źle... Ja was tak bardzo kochałem. Nie wspominajcie źle i niech was Bóg nie opuści nigdy...

Matka i córka głośnym wybuchnęły płaczem. Przez jakiś czas trwało uroczyste milczenie, przerywane tylko tłumionem łkaniem kobiet i ciężkiemi westchnieniami Marcina. — Dyrdejko podniósł się trochę, na poduszkach oparł się i zaczął mówić spokojnie.

Mówił długo o interesach, o folwarku, o gospodarstwie. Radził, jak i co zrobić, zanim Karol powróci, prosił pani Karolowej, żeby Marcina nadal zatrzymała — a i do niego także przemówił, żeby pani nie opuszczał i zawsze, jak dotąd.

Chłop odezwał się jakby z wymówką:

— A dyćbym sumienia chyba nie mioł, żebym tę panią nasą, miał tak ostawić we frasunku — sierotą.

— Ja też ci wierzę, mój bracie — mówił Żmujdzin — wierzę ci zupełnie, tyś dobry człowiek, Marcinie.

Upłynęła godzina prawie, przez ten czas chory to w senność krótkotrwałą zapadał, to znów ożywiał się, o różnych przedmiotach mówił i wogóle spokojnym był, tylko palcami wciąż przebierał i od czasu do czasu spojrzenie na obraz rzucał.

— A wiesżże ty, Marcinku — zapytał — gdzie co na wiosnę siać będziemy?

— Wiem, wiem, wielmozny panie, dyć pan tyle razy pokazował.

— A tak, pamiętajże bracie: owies będzie pod lasem, groch tam, wiesz, od gościńca, jęczmień za stodołą zaraz...

To były ostatnie jego słowa.

Obfite krople potu wystąpiły mu na czoło, głowa opadła na ramię, z piersi wywarło się ciężkie westchnienie.

Pani Karolowa na kolana przy łóżku upadła, bezwładną rękę starca pochwyciła i przycisnęła do ust.

— Przyjacielu... opiekunie nasz! ojcze!... — szeptała. Helenka zanosiła się od płaczu.

Zrobił się krzyk i lament w całym dworze. Służba się zbiegła, gromnice zapalono. Marcin do pani się zbliżył.

— Niech pani nie lamentuje — mówił — nie płace... Bóg Najwyzszy go zabrał, wola Jego święta... Juz tu pani i panience robić tera co nie ma, ja się som przy nieboscyku ostanę.

Zanosząc się od płaczu, kobiety wyszły z pokoju, w którym rozpostarła się żałobna powaga śmierci. Marcin ciało zmarłego wyprostował, grubemi palcami wpół otwarte powieki przymknął, a potem woreczek rozwiązał i zgodnie z ostatnią wolą Żmujdzina szczyptę ziemi na nie nasypał. Resztę zachował starannie, by do trumny mu włożyć.

Służba, która zbiegła się z folwarku, patrzyła na to w milczeniu, a Marcin krzyżyk czarny ze ściany zdjął, w skostniałe palce umarłemu włożył i mówił:

— Niech cię Bóg Wszechmogący do chwały swojej przyjmie, boś był człek sprawiedliwy, miłosierny, cudzej kzywdy nie pragnący, na gros ludzki nie chytry...

To rzekłszy, stary ręce zmarłego ucałował i zwracając się do obecnych ludzi, rzekł:

— Wy wsyćkie, chtóre tu jezdeśta, klęknijta, zmówta pacierz za dusę nieboscyka, aby se odpocywał w spokoju wiecnym.

Na to wezwanie wszyscy na kolana padli i rozległ się gwar wspólnej, gorącej modlitwy, a nad gwarem tym górował głos srebrnowłosego chłopa, poważny, uroczysty, westchnieniami ciężkiemi przerywany.

Twarz zmarłego nie wyrażała śladu cierpień przebytych, zastygł na niej raczej uśmiech dobrotliwy i jakby zaduma jakaś poważna na wysokiem czole.

Płomyk wielkiej, żółtej świecy woskowej drgał lekko, nad nim unosiła się czarna nitka dymu i ginęła w górze, zmieszana z westchnieniami ciężkiemi i szmerem żarliwej modlitwy prostaków...

(Ciąg dalszy nastąpi).



Lubię.

Lubię nas wiejski, rodzinny łan,
Lubię łąk kwietnych uroczy czar,
Lubię mgły sennej pod borem tan,
Lubię słoneczka złotego żar,
Lubię ptaszyny ojczystej śpiew,
Lubię błękity i morza chmur,
Lubię i wiatru ciepłego wiew,
Lubię i hale tatrzańskich gór,
Lubię i zieleń ojczystych strzech,
Lubię ten cichy, kościelny dzwon,
Lubię i stawów modrawych dech,
Lubię brzóz białych modlitwy ton,
Lubię księżyca mglistego skroń,
Lubię i wiejską, tak cichą noc,
Lubię pól czarnych tajemną toń,
Lubię tę dziwną przyrody moc,
Lubię ten biały zimowy świat,
Lubię i mroźny, lodowy dźwięk,
Lubię sędziwą powagę chat,
Lubię ich smutny i tęskny jęk,
Za ciepłem słońcem, za zimy końcem,
Za wiosny wonnej szczęśliwym gońcem

Władysław Łukasik.



MACIEK BZDURA GADA:

Wkiejsik, jagem sed z Gorzkich Zalów, spotkołem się z Wawrzkiem Potykałą, ftóry ledwie się trzymał na nogach, kieby źrybna kobyła.

— Ocho! Wawrzyńce! — padam — znowuście się ululali, jak nie przymierzając nieboscyk wieprzek, co go mój gospodarz w zapusty zakłuli.

— Nie baj, ten tego, panie dzieju! — pocęli beblać Wawrzek — kaby zaś, ten tego, panie dzieju... Co ty, smyku, wis... ten tego... panie dzieju... ja se ino ducha dał... ten tego . panie dzieju...

— Acha! — padam — wlaliście w siebie złego ducha i ten was tak na wszyćkie strony wykręca...

— Zgadeś!.... Ej, nie bres, bom se dobrego ducha dał... ten tego... juści... panie dzieju!

— Acha, dobry! — rzekę — kiedy was tak wodzi, jak nieboskie stworzenie! Oj, Wawrzyńce, przecieście gruntowy gospodarz, a takie bydlątko ze siebie robicie!

— Hę, tak padas?... ten tego... panie dzieju... toś kiep, bo tem się... ten tego... panie dzieju... człek od gada różni, ze gad... ten tego.. panie dzieju... chlepce wodę, a człek se piwecka z harakiem głytnąć... ten tego... panie dzieju... może.

— No, tak! Ale wyście przecie ślubowali, toście głytać nie powinni.

— Uwazas? No juści... ten tego... panie dzieju...

— A bodajze was mucha kopła! Pięknie dotrzymujecie, kiedyście się go.zoły uchlali, ze ledwie idziecie.

— Nie bluźnij... ten tego... panie dzieju... Człek uściwy, jak obieca, to dotrzyma... ten tego... panie dzieju... i ja od ślubowania gorzoły ani nie powącham... ten tego... panie dzieju... Rumik tylko i piwcio... ten tego...

Jaze mnie złość rozebrała na takie cygaństwo, choć Wawrzeniec gazda gruntowy, a ja ino słuzebnik, alem go mało po jadaczce nie przejechał. Zmitygowałem się jednak i padam:

— Bodajem was, Wawrzyńce, nie znał! Ta wy przecie samego Pana Boga osukać chcecie! Nawet Magda wójtowa wie przecie, ze jak się ślubuje od picia, to nie ino od gorzołki, ale od wszyćkiej trunkowości, a więc i od haraku i od piwa i od wszyćkiego, co głowę moze zakręcić. A takie ślubowanie, jak wase, to na nic się nie przyda.

— Uwazas, ten tego... a Siulim inacej padał...

— Siulim musi tak gadać, bo w tem jego jenteres i on na zatracenie dusy nie patrzy, jeno na zysk, ale spytajcie się jegomości, to wam tak samo powie, jako ja...

Uwazas... ten tego... panie dzieju.. a moze ty i prawdę prawis... Warto cię... ten tego... panie dzieju... usłuchać i usłucham... A na podziękowanie ten... tego... panie dzieju... chodź fundnę ci harbaty z rumikiem.

— Idźcie do palarusa! — rzekłem i odsedem, bo z gupiemi ludźmi ni mam zwycaju się wadzić.

Z TYGODNIA.

Reforma wyborcza do Sejmu. W ubiegłym tygodniu toczyły się we Lwowie rokowania o reformę wyborczą do Sejmu. Zdawało się, że ta tak ważna sprawa dla kraju zostanie pomyślnie załatwiona, tem bardziej, że nastąpiła pomiędzy stronnictwami polskiemi początkowo zupełna zgoda. Ale przy głosowaniu zgoda ta okazała się bardzo krucha. Poszło mianowicie o zabezpieczenie dotychczasowej przewagi polskiej w Radach powiatowych. W głosowaniu nad tym wnioskiem solidarność polska została zerwana, gdyż niektóre stronnictwa polskin i Rusini głosowali przeciw powyższemu wnioskowi. Wprawdzie sam wniosek przeszedł głosami konserwatystów, ale w tej chwili Rusini opuścili salę obrad, a przez to udaremnili na razie reformę wyborczą Mimo to nie stracono jednak zupełnie nadziei i podjęto natychmiast nowe rokowania, aby dzieło to dla dobra kraju doprowadzić do pomyślnego zakończenia.

Uspokojenie. Ponieważ przyszło między Austryą a Rosyą do porozumienia w najważniejszych sprawach spornych, a szczególniej w sprawie granic Albanii, przeto oba rządy postanowiły rozpuścić rezerwistów, powołanych na granicę Galicyi i Królestwa.

Podwyższenie kontyngentu rekruta w Austryi. Gazety wiedeńskie donoszą, że w najbliższym czasie ma nastąpić podwyższenie rekruta armii wspólnej na 185 do 190 tysięcy. Dotychczasowa liczba rekrutów, powoływana corocznie, wynosi 159 tysięcy.

Przed strajkiem na Węgrzech. Prezydent policyi ogłosił trzy plakaty, którymi powiadamia, że władze przy pomocy wojska nie pozwolą na przeszkadzanie w pracy lub wstrzymywanie od niej, że policya zabrania wszelkich pochodów i demonstracyj ulicznych. Bramy mają być zamykane o godzinie 7 wieczór, dalej, że na wypadek bicia szyb lub strzelania do okien, natychmiast czyniony będzie użytek z broni palnej, a w razie wykroczeń na sygnał, dany za pomocą trąbki, natychmiast padnie salwa.

Kongres albański w Tryeście. Albańczycy z całą energią dążą do tego, aby przy ostatecznym podziale krajów zabranych Turcyi przez państwa bałkańskie, kraj ich zyskał autonomię i nie dostał się pod panowanie Serbów i Czarnogórców. W Tryeście odbył się kongres Albańczyków, na którym oddali się w opiekę Austryi i Włoch, które, jak wiadomo, popierają niezawisłość Albanii.

Powiększenie armii rosyjskiej. Rząd rosyjskiej projektuje zwiększenie armii o trzy nowe korpusy, tak, aby było ich razem 41. W roku bieżącym ma być utworzoną jedna dywizya artyleryi i dwie piechoty.

Pośrednictwo między Bułgaryą a Rumunią. O rokowaniach rumuńsko bułgarskich za pośrednictwem mocarstw słychać, że obecnie tak Rumunia jak i Bułgarya zgodziły się, aby konferencyi ambasadorów w Petersburgu poruczono akcyę pośredniczącą.

Na placu boju Z powodu wyczerpania się obydwu stron wojujących, z braku pieniędzy i z powodu zasp śnieżnych na Bałkanach trwa dalej zastój w operacyach wojennych. Obydwie strony spozierają wprawdzie ciągle na siebie groźnie, ale w duszy pragną pokoju, aby odpocząć po ciężkich trudach wojennych.

O pokój. Rząd angielski i ambasadorowie mocarstw zostali zawiadomieni przez reprezentanta Turcyi w Londynie, że Porta gotową jest przyjąć propozycye mocarstw w sprawie pokoju. Wskutek tego zawarcie pokoju może nastąpić bardzo rychło.

KRONIKA.

† **Helena z Klemensiewiczów Zechenterowa** żona znanego i cenionego literata, członka redakcyi »Roli« i »Czasu«, zmarła 20 lutego b. r. w Krakowie. Pogrzeb przy udziale rodziny, oraz wielu redaktorów i literatów odbył się w piątek 28 lutego.

(B. K.) **Obchód styczniowy.** Piszą nam ze Zbydniowa: W niedzielę dnia 23 lutego b r. obchodzono u nas 50-tą rocznicę powstania styczniowego w budynku szkolnym. Po pięknej przemowie ks. Józefa Kmiecika wygłosił jeden z uczniów wiersz p. t. »Polska nigdy nie zaginie«, a następnie dzieci szkolne odśpiewały pieśń »Boże coś Polskę«. Po skończeniu pieśni przemówił pan Orzygalski z Kamiony, starzec, ktory jako piętnastoletni chłopiec brał udział w powstaniu 1863 r. Pięknej przemowy wysłuchali zebrani ze wzruszeniem. Śpiew dzieci i żywy obraz zakończyły tę wzruszającą uroczystość.

Śmierć pod samochodem. W ubiegłą środę jechał z Żywca do Białej automobilem nadkomisarz straży skarbowej p. Rożkowski, stacyonowany w rafineryi spirytusowej Fraenkla w Lipniku. Na gościńcu w pobliżu miasta zjechał się automobil z wozem, wyładowanym sianem, na wierzchu którego siedziała 17-letnia Kubicówna z Witkowic. Na widok samochodu konie spłoszyły się i tak szarpnęły wozem, że Kubicówna nagle straciła równowagę i runęła pod przejeżdżający automobil. Nieszczęśliwa z pogruchotaną głową pozostała na miejcu bez życia.

Zmarznięty. Z Witkowic, w powiecie bialskim, piszą nam: W ubiegły piątek, rano koło godziny 5, znaleziono 97 letniego wyrobnika Wojciecha Bojdysa z Wilkowic, przy przystanku kolejowym Biała-Lipnik, zmarzniętego. — Nieboszczyk szedł z targu czwartkowego w Białej i po drodze, z pewnością znużony, znalazł śmierć.

(M. J.) **Pożar.** Dnia 25 lutego, o godzinie 12 w południe wybuchł pożar w Gruszowie, w powiecie wielickim, u gospodarza Marcina Mrówczyńskiego, który za godzinę obrócił w popiół całą stodołę, zaś z domu mieszkalnego zdołano tylko ściany ocalić. Sprawcą pożaru ma być podobno służący chłopak, który poszedł do stodoły i tam strzelał z klucza za pałkami, a z tego powstał pożar. Szkoda nie była ubezpieczoną.

Długowieczność. W Przemyślu zmarła w 106 roku życia Antonina Czajkowska z domu Wiszniewska, wdowa po ruskim księdzu w Kormanowicach. Urodziła się w r. 1807 w Wertołkach koło Brodów.

Napad na kasyera. Z zarządu dóbr Krasiczyńskich księcia Wł. Sapiehy, koło Przemyśla, pojechał w sobotę, dnia 1 marca, do Kupny tamtejszy kasyer, p. J. Mrozowski, na wypłatę. Po skończonej wypłacie, gdy wracał około godziny 9 wieczór wśród pustkowia, nagle wyskoczył z rowu jakiś bandyta i chwycił przestraszonego kasyera za rękę, a następnie dobył z zanadrza długiego noża i pchnął nim z całej siły kasyera w plecy. Tymczasem konie, zanim bandyta zdołał je wstrzymać, poniosły, wioząc na wozie ciężko rannego kasyera i przybyły do domu. Stan rannego kasyera jest bardzo ciężki; bandyta uszedł.

Aresztowanie ruskiego księdza. Z Przemyśla piszą nam: W sobotę 1 marca rano, pociągiem osobowym z Przemyśla do Chyrowa jechało towarzystwo złożone z dwóch panów i księdza ruskiego. Osobno, w kąt wagonu wciśnięty jechał jakiś żołnierz do Budapesztu. W czasie podróży zawiązała się rozmowa na temat stosunków obecnych, z czego korzystając paroch, widocznie zwolennik »matuszki« Rosyi i cara »batiuszki«, pozwolił sobie na wysoce obelżywą krytykę armii i stosunków austryackich, wyrażając nadzieję, że »jak Rosya tu przyjdzie, to przecież będzie lepiej«. Żołnierz cały czas przysłuchiwał się i milczał, dopiero w Chyrowie, gdy paroch zabierał się do wysiadania, powiada doń:

— Ksiądz stąd nie wyjdzie!

— Dlaczego?

— Bo ja księdza oddam w ręce naczelnika stacyi..

Przeczuł paroch, że coś niedobrego się święci, to też ledwo pociąg stanął, wyrwał sie i umknął. Żołnierz puścił się za nim w pogoń i dogoniwszy go w Chyrowie, przyprowadził z powrotem na stacyę, gdzie go oddał w ręce żandarma. Aresztowanego odstawiono do sądu powiatowego w Starej Soli. Nazwisko aresztowanego księdza narazie nieznane.

Nieszczęśliwy wypadek. Józef Kopeć, rolnik w Dziedzicach, na Śląsku austryackim, wracał w piątek wieczorem dnia 21 lutego z Żebraczy do domu. Mostek przez rzeczkę na Liszkach był cały lodem pokryty; wskutek tego Kopeć chybił wśród ciemności mostek, wstąpił na lód, który się pod nim załamał i znikł pod lodem. Dopiero w niedzielę rano znalazł go przypadkowo chłopiec, który przyszedł do rzeczki po wodę z konewką. W nocy zamarzła rzeczka i chłopak musiał dopiero przebijać lód; któż opisze jego przerażenie, gdy pod lodem spostrzegł głowę człowieka. Z krzykiem pobiegł do domu, ludzie zbiegli się szybko i wyciągnęli skostniałego trupa z wody, w którym rozpoznano zaraz Józefa Kopcia z Dziedzic. Komisya sądowa orzekła, że umarł na udar serca w tym samym momencie, gdy wpadł do wody. Pogrzeb odbył się we wtorek przy licznym udziale ludności z całej okolicy.

Śmiertelny wypadek. Z Frysztatu na Śląsku austryackim, piszą nam: Dnia 17 lutego w tutejszej walcowni wydarzył się znów nieszczęśliwy wypadek. Mianowicie robotnik Dorniak wskutek nieostrożności dostał się między blok, wciskający surowe żelazo do pieca a rampę i został przygnieciony; śmierć nastąpiła natychmiast,

Życie za życie. O ciekawem wydarzeniu piszą gazety niemieckie. Oto 19 letnia Fryderyka Becker, zniechęcona różnymi zawodami, postanowiła odebrać sobie życie. W tym celu rzuciła się z piętra na ulicę.



Dziwny przypadek zrządził, że w tej chwili właśnie przechodził narzeczony owej dziewczyny. Nieprzypuszczając nawet, kto leci z góry, podbiegł i chwycił dziewczynę, nim ta upadła na twardy bruk ulicy. Dopiero po ocaleniu życia desperatce, poznał, że to była jego narzeczona, która teraz bez wahania oddała swemu wybawcy za ocalone życie — życie swoje nazawsze.

Śmiertelny wypadek. Niezwykle tragiczny wypadek wydarzył się w ubiegłą sobotę na dworcu

kolejowym w Wiedniu, w oddziale towarowym. Na odosobnionym torze zabrał się do wyładowania węgla z wagonu robotnik kolejowy, Reinwein. W tym celu odsunął wóz na bok, tuż do placu składowego, podsunął pod jego koła dwa kawałki węgla, zamiast kłody drzewa — i zabrał się do pracy. W tejże samej jednak chwili otworzyła się nieszczelnie przymknięta ściana wagonu, skutkiem czego ładunek węgla wypadł gwałtownie, przysypując sobą robotnika. Równocześnie, skutkiem gwałtownego wstrząśnienia, wóz ruszył z miejsca i kołami poszarpał robotnika na kilka części, zabijając go na miejscu. Na poszarpane zwłoki wysypały się resztki ładunku, przykrywając je całkowicie. Wypadek ten dostrzeżono po pewnym czasie, nie wiedząc zresztą, że ofiarą jego padło życie ludzkie. Dopiero gdy w południe przybyła na dworzec żona biednego robotnika z posiłkiem, rozpoczęto poszukiwania i ostatecznie znaleziono jego poszarpane w kawałki ciało pod stosem węgla.

Ofiary ślizgawki. Przed kilku dniami wydarzył się w Poznańskiem straszny wypadek, którego ofiarą padło kilka osób; mianowicie na przedmieściu Poznania załamał się lód na publicznym stawie, na którym urządzona była ślizgawka, a kilka osób dostało się pod wodę. Zanim pospieszono im z pomocą, dwaj mężczyźni utonęli. Resztę osób zdołano ocalić od śmierci, ale straszny ten wypadek naraził je na ciężką chorobę

Lekarstwo dla konia trucizną dla człowieka. We wsi Rogi, koło Grudziądza, w Prusach Zachodnich, stelmach Emil Krumpiec, mając pragnienie podczas pracy, pociągnął z obok stojącej butelki, myśląc, że to coś do picia. — Tymczasem w butelce znajdowało się lekarstwo dla konia. Krumpiec zachorował wśród objawów zatrucia, a chociaż zaraz sprowadzono lekarza, zmarł niezadługo potem.

Przy grze w karty. W Grudziądzu, w Prusach Zachodnich, przy grze w karty robotnik Stypka pokłócił się ze swym zięciem Brodowskim. W toku kłótni rzucił Stypka lampą w swego zięcia, który się zasłonił krzesłem. Lampa spowodowała wybuch, wskutek którego 50-letnia żona Stypki otrzymała śmiertelne rany a wnuk tejże, 5 letni chłopiec Wiśniewski, tak ciężko został poparzony, iż niebawem zmarł. Otóż to skutki zgrywania się w karty. Czyż to nie lepiej czas spędzić na czytaniu gazety lub książki?

Proces cesarza Wilhelma z dzierżawcą. W sądzie krajowym w Elblągu odbyła się rozprawa na skutek skargi cesarza Wilhelma przeciwko dzierżawcy jego dóbr Schostowi, o którego gospodarce cesarz wyrażał się bardzo ujemnie. Dzierżawca w obronie swojej podniósł, że ponieważ wydzierżawił dobra na lat 20, więc pozostaje mu jeszcze 5 lat do końca dzierżawy. Sąd uznał zapatrywanie dzierżawcy, odrzucił skargę cesarza i nałożył na niego koszta sądowe.

Dzieci w balonie porwane wichrem. Pisma niemieckie opowiadają o następującym, pociesznym wypadku, który jednak mógł zakończyć się bardzo smutno. Pewien lotnik, przejeżdżając tymi dniami balonem ponad Lignicą, na Śląsku, wylądował na krótki postój w jednej z wiosek przedmiejskich. Balon przywiązano na łące do wbitych w ziemię pali. Do spoczywającego balonu zbiegły się tłumnie dzieciaki wiejskie i usadowiły się w łódce, czemu lotnik nie przeszkadzał. Naraz zadął silny wicher i zerwał liny, przytrzymujące balon, który wraz z dziećmi natychmiast wzleciał wysoko w powietrze. Dzieci bynajmniej się tem nie strwożyły — przeciwnie, śmiały się i klaskały z radości. A tymczasem tak lotnika, jak wszystkich obecnych, zwłaszcza rodziców dzieci, przejął o los dzieci wielki strach. Na szczęście balon po pewnym czasie opadł po Sorau i bujający malcy wyszli wszyscy bez najmniejszej szkody a tylko bezpłatnie pobujali w powietrzu.

Straszny czyn zrozpaczonej matki. Pewnego dnia posłyszeli sąsiedzi u 30-letniej nie żyjącej z mężem Jentschowej w Berlinie, okropny krzyk z jej mieszkania, a gdy wpadli tam, znaleźli 7 letniego jej synka na łóżku, broczącego krwią z głębokiej rany na szyi, zadanej mu nożem rzeźnickim. 9-letnia siostra chłopca uciekła, gdy weszli sąsiedzi, przed matką. Na podłodze leżał skrwawiony nóż, który Jentschowa kupiła w tym celu, aby zamordować dzieci i siebie. Postanowienie takie powzięła z rozpaczy nad nieszczęśliwem swojem zamążpójściem i nędzą, w jaką popadła, pomimo, iż szyciem starała się utrzymać dzieci i siebie.

Bohaterski czyn konduktora. W dzisiejszych czasach, pełnych gnusności i samolubstwa, każdy czyn odwagi i poświęcenia nabiera większego znaczenia i wywołuje zasłużone zresztą zupełnie uznanie i podziw. Jeden z czynów tego rodzaju rozegrał się przed kilku dniami w Westfalii, w okolicy Bochum, w Niemczech. Konduktor, August Möller, prowadził specyalny pociąg ze stacyi Bochum-Süd do stacyi Bochum Riemke Friemersheim. Na stacyi w Essen wjechał z boku na ten pociąg jakiś pociąg towarowy. Maszynista i palacz zeskoczyli z maszyny, zapomniawszy zamknąć regulator. Tender i pierwszy wóz poniósł wielkie uszkodzenia, mimo to pociąg nie wykoleił się i jechał z szybkością 40 kilometrów bez maszynisty ku stacyi Steele. W pierwszym wozie dla służby znajdował się prowadzący pociąg August Möller i czterech konduktorów. Möller ujrzawszy, że z powodu wielkiej szybkości nie można nawet myśleć o wyskoczeniu z pociągu, z niebezpieczeństwem życia wdrapał się na dach wozu, chcąc stamtąd skoczyć do lokomotywy. Odległość między wozem a lokomotywą wynosiła około czterech metrów. Möllerowi udało się wziąć rozpęd i skoczyć na tender. Potłukł się wprawdzie, mimo to udało mu się zatrzymać pociąg tuż przed stacyą Steele, wskutek czego zapobiegł wielkiemu nieszczęściu, jakieby nastąpić mogło, gdyby niespodziewanie wpadł był pociąg na stacyę.

Wśród wojennej pożogi. Rannych w wojnie bałkańskiej żołnierzy, umieszczono nietylko w szpitalach wojskowych i lazaretowych polowych, ale także w klasztorach katolickich, których nie brak na Bałkanie. Patryotyczne zakonnice i siostry z całem poświęceniem czuwały nad chorymi i opiekowały się nimi.



Na obrazku widzimy właśnie scenę, gdy wyleczony już, młody żołnierz bułgarski, opuściwszy szpital klasztorny, żegna się ze swemi opiekunami. Bułgar, choć schizmatyk, dziękuje zakonnicom katolickim za troskliwą opiekę.

Balonem z zachodnich Niemiec do Moskwy. Dwóch niemieckich żeglarzy powietrznych, jeden z Bohumu, w Westfalii, drugi z Elberfeldu, przedsięwzięło w końcu zeszłego miesiąca podróż balonem do Moskwy. Przestrzeń, wynoszącą 1750 kilometrów, przebyli szczęśliwie w 24 i pół godziny. Chwilami szybowali z niesłychaną szybkością 126 kilometrów na godzinę. Na terytoryum rosyjskiem strzelano kilkakrotnie do balonu, lecz pociski go nie dosięgały.

Zabawne zdarzenie narobiło w Augsburgu, w Niemczech, wiele śmiechu. W rodzinie pewnego majstra piekarskiego miano zapłacić podatek od psa podwórzowego. Ogólnie twierdzono, że pies jest mało wartościowy, lecz rodzina piekarza rozdzieliła się na dwie strony: jedna była za zapłaceniem podatku, druga chciała psa zastrzelić. Pewnego dnia przywołał piekarz swojego ucznia, dał mu 9 marek na zapłacenie podatku. Majstrowa, która była tego nieznacznym świadkiem, wyszła za chłopakiem, rozkazała mu zaprowadzić psa do rzeźni i tam go kazać zabić. Dała mu na koszta zabicia 1 mk. i dla niego 50 fenigów kieszonkowego. Chłopak poszedł i wrócił — bez psa i bez pieniędzy. W strachu, aby nie popadł w niełaskę czy to u majstra albo u majstrowej, wykonał oba zlecenia: wprzód poszedł zapłacić podatek, następnie kazał psa u oprawcy zabić.

Oryginalny paszport. Pisma dalmatyńskie donoszą o zabawnem zdarzeniu, jakie się przed kilku dniami zdarzyło na granicy czarnogórskiej. Do Cattaro przybył niedawno temu pewien malarz monachijski, z zamiarem zrobienia wycieczki do Cetynii, stolicy Czarnogóry. Wybrał się tedy z Cattaro w podróż piękną drogą, wiodącą do owego miasta. Po niejakim czasie stanął koło domku granicznego, przed którym stał na warcie żołnierz czarnogórski, granica bowiem jest teraz pilnie strzeżona, a bez paszportu nikt nie może dostać się do państwa czarnogórskiego. Poczciwy Monachijczyk o tem zapomniał i zostawił swój paszport w hotelu w Cattaro. Sytuacya była zgoła nieprzyjemna, zwłaszcza, że żołnierz czarnogórski był nieczuły na pieniądze, jakimi go chciał malarz przekupić. Zrozpaczony malarz zaczął przeszukiwać swoje kieszenie, lecz, niestety, żadnej nie miał legitymacyi. W tem wpadła mu do ręki kartka reklamowa pewnego przedsiębiorstwa monachijskiego, na której widniał państwowy orzeł bawarski. Nie namyślając się wiele, podał ową kartkę żołnierzowi, a ten, zobaczywszy orła, uwierzył, że ma przed sobą paszport, poczem już bez namysłu przybił pieczęć, potwierdzającą ów paszport, a malarz dumny że mu się sztuka udała, przekroczył granicę. Żołnierz dał się wywieść w pole tylko dlatego, że czytać nie umiał.

Operacya królowej. Z Bukaresztu donoszą, że wezwany ze Strassburga prof. Dr Landelt, dokonał niedawno operacyi przypogotowawczej dla zdjędia katarakty z oka królowej rumuńskiej, znanej literatki, pisującej pod nazwiskiem Carmen Sylva. Stan zdrowia królowej, liczącej obecnie 70 lat, jest pomyślny.

Nowy gwałt rosyjski. Gazety petersburskie donoszą o niezwykłym wypadku, możliwym li tylko w Rosyi. Oto do jednego kościoła katolickiego w Petersburgu, którego proboszczem jest ks. Deibner, podczas nabożeństwa wkroczył prawosławny biskup narwski, Nikander, w towarzystwie kilku osób cywilnych. Podszedł on do ołtarza i zwrócił się do zgromadzonych z mową, wzywając do opuszczenia świątyni, ponieważ jest ona katolicka i prawosławnych w niej gorszą i nawracają. Wszczął się w kościele popłoch. Nabożeństwo musiano przerwać. Wówczas ks. Deibner wszedł na ambonę, wzywając obecnych do zachowania spokoju. Podobno wielu katolików-Rosyan zwróciło się do posłów w Dumie, którzy przyrzekli im wnieść interpelacyę, czy to jednak co pomoże, wątpimy, bo jaki pan taki kram. Nawet gazety rosyjskie oburzają się na to zajście.

Wytrwała piechurka. Do Smoleńska przybyła podróżniczka Hoemfries, która zrobiła z klubem sportowym w Nowym Jorku zakład o dziesięć tysięcy dolarów o to, że w ciągu czterech lat dokona pieszo podróży naokoło świata. Drogę z Nowego Jorku do Smoleńska przebyła ona w ciągu piętnastu miesięcy.

Pogrom żydów. W miasteczku Szawle, na Litwie, zginęła mała dziewczynka, nazwiskiem Kowalewska. Lotem błyskawicy szerzyć zaczęła się pogłoska, że padła ona ofiarą żydów. Rzucono się na żydów i zaczęto gromić domy i sklepy. Policya dopiero po dłuższej walce zmusiła pogromców do zaniechania gwałtów, a wieczorem tegoż dnia dziewczynka się odnalazła. Okazało się, że nie uprzedziwszy rodziców, poszła odwiedzić koleżankę. — Z pośród żydów kilkunastu jest dosyć poważnie rannych.

Agenci policyi hersztami band rozbójniczych. Naczelnik oddziału wydziału śledczego, Biełowscew, w Ekaterynosławiu, w Rosyi, ukradł znajdujące się na przechowaniu w policyi kosztowności i rewolwery, i wraz z dwoma swymi kolegami Hechtem i Klauzem, którzy mu byli w tem pomocni, uciekł. W ostatnich czasach policya wyśledziła, że wszyscy trzej znajdują się w Sławiańsku i mieszkają w pierwszorzędnym hotelu. Hotel ów otoczono ze wszystkich stron i wezwano Biełowscewa z towarzyszami do poddania się. W odpowiedzi na to osaczeni zaczęli strzelać. Policya odpowiedziała również strzałami. Ta strzelanina trwała pół godziny. Wszyscy trzej padli trupem, gdy przez dach chcieli się ratować ucieczką. Obecnie stwierdzono, że Biełowscew, będąc naczelnikiem oddziału w wydziale śledczym, był jednocześnie hersztem bandy rozbójników, prowadzącej rozboje w okolicach Ekaterynosławia.

Papuga postrachem zbrodniarza. Przy jednej z ustronnych ulic Brukseli, stolicy Belgii, zamieszkiwała samotnie zamożna wdowa Lora Reynders. Pewnego dnia zgłosił się do niej jakiś młodzieniec, który przedstawił się jako ajent policyi, wysłany do sprawdzenia, czy odebrane od pewnego złodzieja kosztowności nie są jej własnością i czy wogóle nic jej nie brakuje. Wdowa nic nie podejrzywając, otworzyła szufladę, w tej chwili zaś przybyły zamordował ją sztyletem.



Jakkolwiek zbrodnię spełniono w celu rabunku, bo zbrodniarz rozbił szafę siekierą, przyczem zranił się w rękę, to jednak z kosztowności nic nie brakowało. Policya na razie nie mogła sobie wytłomaczyć,

dopiero później przekonano się, że zbrodniarza spłoszyła papuga, która z drugiego pokoju, słysząc gospodarowanie kogoś obcego, zaczęła krzyczeć. Zbrodniarz sądząc, że ktoś przybywa z pomocą, zbiegł, nie zdążywszy nic zrabować i zabrać z sobą.

Śnieżyce w Hiszpanii Niebywałe śnieżyce nawiedziły prawie całą Hiszpanię. Zwłaszcza w Katalonii szkody są znaczne. Pod stacyą Carinera ugrzęzły w śniegu dwa pociągi, a w pobliżu Utrillas trzy inne. Posłane na ratunek pociągi pomocnicze nie dotarły na miejsce, gdyż także ugrzęzły w śniegu. W Almeryi wichura, połączona ze śnieżycą, zwaliła kilka domów.

Śmierć na ambonie. Wzruszająca scena rozegrała się tymi dniami w miejscowości angielskiej Cam. W kościele tamtejszym miał kazanie ksiądz Griffith, powszechnie poważany i lubiany przez swoich parafian, którym wyświadczył wiele dobrego. Ks. Griffith mówił o bohaterskim zgonie kapitana Skota, o którym pisaliśmy w poprzednim numerze »Roli«, a nawiązując do jego śmierci, wzywał rodaków, by tak, jak Skot, nie wahali się poświęcić życia dla dobra ojczyzny. Kazanie wywarło wielkie wrażenie, które jednakże spotęgował inny przykrzejszy fakt. Oto kapłan, który przed chwilą donośnym głosem wygłaszał gorącą przemowę do parafian, nagle zachwiał się, i runął na schodki prowadzące na ambonę. Pośpieszono mu z pomocą, jednakże ratunek był już spóźniony. Kapłan zmarł bowiem nagle rażony udarem sercowym.

Prezydent bez miejsca. Państwa demokratyczne mają swoje złe i dobre strony. Złą stronę miał teraz sposobność poznać przyszły prezydent Stanów Zjednoczonych Wilson, w podróży z Nowego Jorku do Princetown. Pociąg, którym jechał, przepełniony był podróżnymi, tak, że prezydent stać musiał w przedziale, a jakkolwiek wielu z pasażerów poznało go, nie przyśniło się nikomu ofiarować mu miejsca. Na małej jakiejś stacyi udało się Wilsonowi usiąść nareszcie, w tej samej chwili jednakże weszło do przedziału kilka pań. Wilson był jednym z podróżnych, który ofiarował jednej z nich miejsce swoje, za to miał przyjemność stać jeszcze trzy godziny — do samego końca podróży.

Przybytki śmierci. W Meksyku, w Ameryce środkowej, gdzie jak wiadomo, zachowały się do dziś dnia różne prastare budowle i inne pomniki starożytne, odkryto podziemne katakumby, mieszczące całe rzesze nieboszczyków z przed setek, a może tysięcy lat.



Gorące i suche powietrze tych podziemi sprawiało, że ciała nie gniły, lecz zeschły na patyk i w tym stanie dotrwały do dziś dnia. Nasz obrazek ukazuje właśnie jeden z tych meksykańskich przybytków śmierci. Wnętrze tej katakumby przedstawia nam niezwykły sposób chowania zmarłych u starożytnych Meksykanów.

Najstarszy uczeń na świecie. Jest nim 85-letni starzec Karol Shawlington, który się zapisał w Pittsburgu, w Ameryce, do tamtejszej szkoły malarskiej i bardzo pilnie uczęszcza na wykłady. Shawlington, który był dawniej marynarzem i gospodarzem, pracuje bardzo pilnie i utrzymuje, że zostanie malarzem prędzej od niejednego dwudziesto-letniego młodzika.

Pięcioletnie wdowy. W Indyach, kraju pogańskim, jest 250 tysięcy dziewczątek poniżej lat 5, które wyszły już za mąż. Pochodzi to stąd, że małżeństwo w Indyach jest sprawą handlową, dokonywaną przez rodziców, gdyż zwyczaj każe, aby ojciec kupił córce męża w jak najkrótszym czasie. Po dokonaniu ceremonii, żonę oddaje się rodzinie, a mąż ją na stałe odbiera pomiędzy 10 a 12 rokiem jej życia, co przy wcześniejszym rozwoju Hindusek równa się 15 latom u nas. W Indyach angielskich spotkać można miliony dziewczątek, które w 13 latach zostają matkami, a w wieku lat 26 babkami. Narodziny córki uważa się tam zawsze za nieszczęście, ponieważ trzeba jej dać posag, to też córkobójstwo jest tam rzeczą powszechną. Żona w Indyach jest niewolnicą, a wdowa jest jeszcze nieszczęśliwszą, gdyż jest ogólnie poniewierana. W Indyach jest 26 milionów wdów, z czego 10 milionów ma zaledwie 5 lat, a nawet mniej. Indye mają 300 milionów ludności.

Skakający naród. Kraj, gdzie ludzie bardzo wysoko umieją skakać, leży we wschodniej Afryce, nazywa się Ruanda i jest zamieszkany przez trzy różne ludy: watussi, wahutu i Batwa. Ci ostatni są rasą istnych karłów, podczas gdy watussi są prawie olbrzymami, których wzrost waha się między 1·80 a 2 metrów. Niektórzy z nich, a także sułtan, mierzą 2·20 metrów. Mimo wysokiego wzrostu są pięknie zbudowani. Wszyscy mają nadzwyczajne zdolności do różnego rodzaju ćwiczeń fizycznych, zwłaszcza w skoku, tak, że jacyś podróżnicy urządzili zawody w skoku watussów, przyczem na dwóch słupkach rozciągnięto sznurek, przez który watussi skakali z rozbiegiem z mrowiska. Najlepszy ze współzawodników, wspaniały olbrzym, osiągnął nieprawdopodobną wysokość 2 i pół mtr., a wielu chłopców nawet osiągnęło 1·50 do 1·60 mtr. Powstał teraz zamiar, ażeby najlepszych z tych cudownych skoczków przygotować do wielkich popisów gimnastycznych, które odbędą się w Berlinie w r. 1916.

Generał Grumbkow a August II. Pruski generał Grumbkow za panowania Fryderyka Wilhelma I. był posłany z misyą dyplomatyczną do Augusta II, bawiącego w Warszawie. Zatrzymawszy się na nocleg w Kistrzynie, zmęczony drogą, generał Grumbkow zasnął odrazu twardo. W tem odgłos wyraźnego stąpania nagle go przebudził. Generał usłyszał, jak drzwi jego pokoju otworzono i już miał zapytać, kto wszedł, gdy jakaś postać podniosła firankę łóżka i stanęła przed nim. Grumbkow rozpoznał w niej króla Augusta, który odezwał się doń wyraźnie: »Twoja misya się skończyła. Wracaj do Berlina. Umarłem!« Firanka opadła — widzenie znikło. Śmiertelnie przerażony Grumbkow skoczył na równe nogi, obejrzał pokój, pytał się służby w przedpokoju, nikt nie wchodził, nikogo nie widziano. Z rana, gdy generał ujechał już spory kawał ku Warszawie, spotkał pędzącego ze stolicy kuryera, który zawiadomił go, że król August II zmarł ostatniej nocy o godzinie pierwszej, właśnie wtedy, gdy generał miał owo widzenie.

Sztuczne mięso. W dzisiejszych czasach, wobec teraźniejszego stanu nauki, niema prawie rzeczy, którejby nie można było sztucznie wyprodukować lub naśladować. Mamy już z dawna sztuczne masło,

sztuczne sery, w których niema ani kropli mleka i t. p., a obecnie knuje nauka nowy zamach na... rzeźników! W niedalekiej przyszłości będziemy może mieli sztuczne mięso wyprodukowane przez jednego z belgijskich uczonych chemików. Oto po długich próbach udało się owemu uczonomu z pierwiastków roślinnych wyprodukować w drodze chemicznej mięso cielęce, wołowe, baranie i wieprzowe, ani zawartością składników, ani smakiem nie różniące się niczem od prawdziwego. Głównym materyałem, z którego belgijski chemik sporządza swe mięsa, jest słód, pozostałość przy fabrykacyi piwa. Słód należycie odczyszczony i wytłoczony poddaje się kąpieli w kwasie siarczanym, a następnie wystawia się na działanie gazów wapiennych. Nowy twór wygląda jak mięso, ma wszystkie jego właściwości, taki sam smak, a nadto tę zaletę, iż jest znacznie tańszy. Dotychczasowe doświadczenia, poczynione przez lekarzy i uczonych dały podobno zupełnie doskonałe rezultaty. Kto jednak wie, czy to doniesienie gazet niemieckich o sztucznem mięsie nie jest wymysłem jakiegoś wesołego dziennikarza.

Z dziejów szczepienia ospy. W Barkeley, miasteczku w Anglii, zmarł dn. 16 stycznia r. 1823 Edward Jenner, odkrywca szczepienia ospy. Nadano mu swego czasu przydomek »największego dobrodzieja ludzkości« i słusznie po części. Dziś w krajach bowiem, w których istnieje przymus szczepienia, prawdziwa, lub czarna ospa należy do rzadkości, podczas gdy pod koniec jeszcze XVIII stulecia piąta część zaledwie całej ludzkości nie nosiła śladów tej strasznej chcroby. W r. 1796 ulegało ospie 400.000 ludzi rocznie w Europie. Rok 1796, w którym Jenner zaczął szczepić ospę, będzie na zawsze pamiętny w historyi ludzkości. 28 lat kiełkowała myśl szczepienia ochronnego, zanim wcieliła się w czyn. Jako młody student, Jenner w r. 1768 usłyszał przypadkiem na rynku, jak kobieta jakaś wiejska mówiła do przekupki: »Nie dostanę ospy, bo miałam już ospę krowią«. Jenner, zaciekawiony tem, odkrył po długich badaniach, że krowy zarażają się ospą od ludzi, a to przy dojeniu i dostają pierwsze wyrzuty zazwyczaj na dojkach. Stwierdził następnie, że od krów zarażają się ospą ludzie, najczęściej kobiety przy podoju, lecz ospa ta przechodzi nadzwyczaj lekko, nie pozostawiając nawet śladów, zabezpiecza jednak przed właściwą ospą na dłuższy przeciąg czasu. Od stwierdzenia tych faktów, do wytwarzania sztucznie szczepionki i szczepienia ludzi nie było już daleko. Szczepienie ochronne przyjęło się w Anglii powszechnie w r. 1802. Najlepszym dowodem pożyteczności szczepienia ospy jest fakt, że w wojnie niemiecko-francuskiej w roku 1870, w armii francuskiej, w której szczepienie nie było obowiązkowe, zginęło od ospy 23.469 ludzi, podczas gdy w szczepionem wojsku niemieckiem zaledwie 261.

500 słów na minutę. Jak wiadomo, w latach ostatnich bardzo rozpowszechniły się maszyny do pisania, na których się pisze uderzając palcami, pismo wygląda jak duży druk i praca idzie znacznie szybciej, niż pisanie ręką. Obecnie w Ameryce wynaleziono maszynę do pisania, na której w jednej minucie pisze się 500 słów. Nowa maszyna do pisania waży wszystkiego ośm funtów i jest tak małą, iż można ją zmieścić w kieszeni ubrania i nosić ze sobą. Posiada 22 klawiszów urządzonych podobnie, jak przy zwykłych maszynach, ale za pociśnięciem powstaje równocześnie nie jedna litera, lecz całe słowo. Aparat, oprócz 22 normalnych klawiszów, których odpowiednia kombinacya wyprodukować może około dziesięć tysięcy najrozmaitszego rodzaju słów, posiada nadto 150 »skróceń« — odtwarzających najczęściej używane wyrazy. Jeżeli wprawna panna od maszyny może przy pośpiechu napisać 50 a nawet chociażby i 70 wyrazów na minutę, na nowej maszynie w tym samym czasie lekko otrzymać można 350—400 wyrazów, przy nabyciu zaś odpowiedniej wprawy nawet 500.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Ks. Paweł Wieczorek w B.: Dziękujemy serdecznie, wszystko powoli pójdzie. — Jan Stachnik w O.: Owszem — umieścimy. — Józef Kapuściński w L.: Jużeśmy pisali o tem w Kalendarzu i »Roli«, trudno więc powtarzać. Adres p. K, Cyków, p. Olesko, zaś p. R.: Trinitatis, p. Bochnia. Łączymy pozdrowienia. — Magdusia od Sącza: Maciek za ładną kartkę i miły list serdecznie dziękuje. — Michał Ordon w H.: Z listu Pańskiego skorzystamy. Szczepan Orzech w K: Otrzymaliśmy — za pozdrowienia dziękujemy. — Jan Malinowski w L.: Jeżeli dobre, to i owszem. — Władysław Sasak w Z.: Otrzymaliśmy – dobre. — Jan Kapałka w D.: Książkę p. t. »Maciek Bzdura« otrzymać można tylko za poprzedniem nadesłaniem 2 kor. — Kazimierz Robaczyński w W.: Tylko ci, którzy przysłali całoroczną prenumeratę na r. 1913 mieli udział w losowaniu. — Wojciech Kurnik w N.: Los ominął Pański numer. — Stanisław Kochanek w M.: Utwory chłopskie, szczególniej artykuły poważne, drukujemy bardzo chętnie. Pański artykuł również bardzo chętnie wydrukujemy, gdyż, jak powiedzieliśmy, jest dobry, lecz musiałby Pan sam zmienić drugą część. Nam brak na to ogromnie czasu. — Jan Małkowicz w G.: Wiersza, chwalącego książkę p. t. »Maciek Bzdura«, jakkolwiek dobry, nie wydrukujemy, gdyż byłoby to reklamą książki, która i bez tego bardzo szybko się rozchodzi. — Jan Pociej w S.: Zdarzenie z przed kilku lat nadawałoby się raczej do pisma dla dzieci. — Michał Jaworski w W.: Za słowa uznania serdecznie jesteśmy wdzięczni. Maciek za list dziękuje. — Jan Szczych w S.: W nadesłanych wierszach brak rymu i rytmu, przeto drukować ich nie możemy.

Potwierdzenia prenumeraty.

Roczną prenumeratę nadesłali PP.: Marya Tracz z S., Michał Szczerbowski z P., Zwierzchność gminna z U., Zwierzchność gminna z D., Zwierzchność gminna z O., Zwierzchność gminna z B., Zwierzchność gminna z W., Zwierzchność gminna z G., Zwierzchność gm. z M., Zwierzchność gminna z H., Wilhelm Zembaty z T., Miłosław Puszczyński z B., Wojciech Obrzud z B., Janina Iwanczewska z K., Piotr Maciejczyk z T., Józef Wiśniowski z W., Jan Pławecki z T., Ludwik Więckowski z K., Marcin Bałuka z K., Aleks. Swadowski z P., Kazimierz Zając z J., Jan Ziomek z K., Ant. Zwierzyński z Z.

Półroczną prenumeratę nadesłali: Wiktorya Czaja z B., Marcin Dycyan z Cz., Józef Gacek z Ch., Czytelnia polska z S., Andrzej Skołuta z Sz., Franc. Turek z M., Ferdynand Bem z K., Jan Głodowski z T., Sebastyan Pajór z Z., Andrzej Sadlik z F., Antoni Nikosiewicz z R., Jan Kożusznik z T., Wład. Biedroń.

Kwartalną prenumeratę nadesłali PP: Franc. Uchyla z Ch., Maciej Tokarczyk z B., Andrzej Sarata z N., Jan Przewoźnik z G., Jan Rusinek z G., Helena Galusówna z T., Filip Francak z Cz., Andrzej Pacholacz z Ch.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 4 marca

Pszenica	Kor.	9·70	do	10·25	za 50 kg
Żyto	„	8·80	„	9·40	„
Jęczmień	„	7·85	„	8·75	„
Owies	„	9·10	„	9·50	„
Otręby pszenne	„	6·40	„	6·50	„
Otręby żytnie	„	6·25	„	6·35	„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 4 marca:

Buhaje	Kor.	135	do	430	za sztukę
Woły	„	240	„	400	„
Krowy	„	188	„	350	„
Jałówki	„	86	„	218	„
Cielęta	„	26	„	60	„
Owce i kozy	„	—		—	„
Świnie bita waga	„	140	„	160	za 50 kg.

Zagadki do nagrody.

1. ARYTMOGRYF.

(Ułożył Adam Rymarowicz).

Gwiazdki jasne i gwiazdki ciemne zastąpić literami w ten sposób, by pierwszy rząd gwiazdek ciemnych czytany z góry na dół i drugi czytany z dołu do góry dał nam nazwiska dwóch ostatnich wodzów polskich.

		✱	✿	✿	✱		
	✿	✱	✿	✿	✱	✿	
		✱	✿	✿	✱		
	✿	✱	✿	✿	✱	✿	
	✿	✱	✿	✿	✱	✿	
	✿	✱	✿	✿	✱	✿	
		✱	✿	✿	✱		
	✿	✱	✿	✿	✱	✿	
		✱	✿	✿	✱		
✿	✿	✱	✿	✿	✱	✿	✿

Znaczenie wyrazów: 1) Przysłówek. 2. Upośledzeni na ciele. 3. Materyał krawiecki. 4. Część łańcucha. 5. Część drzewa (zdrobniale). 6. Urzędnik do pobierania podatku na granicach. 7. Dzikie zwierzę. 8. Atleta. 9. Wartość. 10. Roślina.

2. SZARADA.

(Ułożył Walenty Miśniak).

Trzecia wspak, wprost pierwsze, to imię dziew-[czyny,
Druga z drugiej i trzecie imię kobieciny,
Pierwsza, pół drugiej na racławickich polach [dzielnie się sisali,
Trzecia z drugiej, pół pierwszej i druga z dru-[giej tam bitwę wygrali.
Całość jest bardzo potrzebna przy wiosennej [porze,
Kiedy rolnik na łanie czarną skibę orze.

3. LOGOGRYF.

(Ułożył Adam Rymarowicz).

t — n
i — z
k — a
s — k
k — t
o — o
s — k
s — i
k — s
a — e

Dopełnić wyrazy tak, by środkowy rząd dał nam znane dzisiaj miasto.

4. ŁAMIGŁÓWKA LITEROWA.

(Ułożył Paweł Wieczorek).

A, a, a, a, d, ę, e, ę, e, i, i, i, i, j, j, j, k, k, k, m, m, o, s, s, s, t, t, t, w, z.

Z powyższych liter ułożyć znane polskie przysłowie.

5. SZARADA.

(Ułożył Władysław Lubertowicz)

Pierwsze go z trzeciem każdy się boi,
Kto o całość okrycia zimowego stoi,
Szóste, trzecie i drugie, przysługę oddaje,
Gdy kto przed sądem jako oskarżony staje.
Zaś szóste, trzecie, piąte, szóste to jest imię [znane,
Lecz najwięcej przez panie w Anglii używane.
Szóste z trzeciem także mianem bywa,
Lecz tak się tylko psa nazywa.
Całość rzecz nie byle jaka,
Bo zabiera rodzinie męża, ojca, brata.
Że całość ta nam grozi, wszyscy mi przyznacie
A odpowiedź, zmieniwszy pierwszą literę, [w czwartem, piątem, szóstem dacie!

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 15 marca 1913 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

Znaczenie zagadek z numeru 8 »Roli«: 1. Krzyż magiczny: **Kapitan, ślimak, tatarzy.** 2. Figura magiczna: **Stafan Batory.** 3 Szarada: **Rumunia.** 4. Tajemniczy bilet: **Lakiernik.** 5. Szarada: **Baranów.** 6. Tajemniczy bilet: **Redaktor Roli.** 7. Szarada: **Szatan.**

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania nadesłali PP.: Jan Przewoźnik z G., Józef Drąg z R., A. Bezokówna z K. M., Z. J. z Zakliczyna, Franciszek Gruca z O., Zofia Oraczewska z Ż., J. Midowicz z S., Jan Czwałga z W., Mikołaj Wyżykowski z R., Wojciech Lubas z G., Jan Bronikowski z M., Władysław Wołowiec z S., Jan Bylicki z K., Stefani[...]ski rka, Piotr Grüner z S., Józef Opiołek z D, Fr Teper z M. K., Jan Małkowi z z G., Zofia Kobylarz z G., Franciszek Siekaniec z P., Józef Grabowski z B., Wł. Ogiński z P., Henryka Wardzałowa z G., Józefa Hirszberg i Czytelnia T. O. L z K., Kazimierz Nekvapil z N. S., Walenty Miśniak z P., Józef Kmiecik z K., Fr. Szajter z O., Piotr Bochnia z T., Józef Maziarz z Z., Zofia Augustowska z K.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Szary proch*** wylosował p. **Józef Opiołek** z D zaś drugą p. t. ***Polowanie na grubego zwierza*** p. Jan Czwałga z W.

Wydawca: Stanisław Kopernicki. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara

Drukarnia „Czasu" w Krakowie pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.